GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK IV W OBOZIE, DNIA 1 MARCA 1943 R. NR 4/5 (60-61)

ANTONI CHOŁONIEWSKI (1872 — 1924)

Polski probierz wielkości

— Gdybym w jednym zdaniu miał określić charakter i cywilizacyjne stanowisko narodu, zapytałbym, co uważane bywa w nim za Wielkość, co uchodzi za bohaterstwo narodowe — mówi F. Koneczny w swej monografii o Kościuszce. I stwierdza: »W Polsce, ażeby być wielkim trzeba mieć przede wszystkim wielki charakter, wielkie serce, wspaniałość duszy. Nam nieznana wielkość zbrodnicza, u nas nie dochodzi się do szczytu historycznego uznania ze splamionym sumieniem. Przez całych tysiąc lat pochodu dziejowego nie przyznaliśmy ani razu piętna wielkości nikomu, kto nie celował cnotą, czystością intencji, ofiarnością i poświęceniem. Słowem tylko szlachetni mogą być w Polsce wielkimi«.

»Wielkość« np. pruskiego króla Fryderyka II lub moskiewskiego cara Piotra brzmi w uszach polskich nie tylko z przyczyn, które nas bezpośrednio dotyczą, ale z ludzkiego punktu widzenia — jako epitet szyderstwa. Genialny przedstawiciel despotyzmu ani genialny oszust ani genialny zaborca ani w ogóle gwałciciel czyichkolwiek praw — nie mogą w umyśle polskim wywołać skojarzenia z wielkością.



STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI

Polska miała wielu znakomitych i świetnych wodzów — obywateli. Takimi byli: Zamoyski, Tarnowski, Chodkiewicz, Koniecpolski; takim był surowy Czarniecki, który powstał z tego »co boli«; takim był najpopularniejszy z królów naszych — Sobieski; takim książe Józef Poniatowski, piastun wojskowego honoru Polski, Henryk Dąbrowski, twórca legionów. Lecz pojęcie bohaterstwa w najwyższym, przedstawicielskim znaczeniu tego wyrazu przylgnęło w pamięci narodu do tych, którzy — zwycięzcy lub zwyciężeni — stali się przez swe czyny wykładnikami najistotniejszej treści ducha narodowego.

Tej miary dosięgnął hetman Stanisław Żółkiewski, który wzniósł się na widownię jako bohater — wyraziciel duszy swego plemienia.

»Hektor polski«, największa postać naszej historii w okresie szczytowego rozwoju Rzeczypospolitej, jest Żółkiewski nieprześcignionym w doskonałości wzorem człowieka, obywatela i rycerza. Jego wszystkim wyprawom wojennym towarzyszy wielka i z etycznego punktu widzenia wzniosła myśl dziejowa. Przez Kłuszyn dąży do złamania despotyzmu moskiewskiego i do rozszerzenia unii wolnych narodów na wschód. Przez błonia cecorskie — do zasłonięcia kultury chrześcijańskiej przed niszczącą i bezpłodną siłą otomańską. Wojskom swoim, przy całym zachowaniu dyscypliny, przyznaje cenne prawo, że mają wiedzieć za co się biją: gotów jest przed bitwą — jak na polach guzowskich — przemówić do nich o słuszności bronionej sprawy. Twardy wojownik, wzdraga się przed okrucieństwem i słabych zasłania przed krzywdą. Przez sześć tygodni po złamaniu cara Szujskiego rządzi w Moskwie, żegnany na odejściu nie jak wróg, lecz jak przyjaciel: »wszystka czerń — stwierdza pamiętnikarz — po ulicach zabiegała mu drogę, błogosławiąc«.

Nic nie ma w nim interesu osobistego, ani śladu prywaty, ani cienia niskiej ambicji. Nie umie się płaszczyć, o nic nie prosi. W bezgranicznym zapomnieniu o sobie wszystko dokoła mierzy miarą pospolitego dobra. Pod Cecorą ginie jak olbrzym. *„Jeśli zostaniem zwyciężeni* —mówi— *nie między jeńcami jeno między poległymi mnie szukajcie"*. Jest w godzinie śmierci tak wielki i wspaniały, jakim był przez cały swój długi żywot.

Na zwrotnym punkcie swych dziejów, między upadkiem państwowym a rozpoczynającą się epoką niewoli, wydaje Polska drugi równej doskonałości typ bohaterski w Kościuszce. Ten uważa swą władzę dyktatorską za »narzędzie do skutecznej obrony ojczyzny«, nie żywi żadnych samolubnych widoków. Zawodowo wyszkolony wódz, jest jednak w zasadzie przeciwnikiem zarówno wojen jak stałego utrzymywania wielkich armii: skłania się raczej ku powszechnemu wyćwiczeniu wojskowemu narodu. Bitność żołnierza opiera nie tylko na tresurze, ale i na sile moralnej. W uniwersale połanieckim nawołuje: *„Naprzeciw kupie niewolników postawmy masę potężną swobodnych mieszkańców"*. Rzemiosło wojskowe rozumie tylko w służbie idei, godnej ofiar. Przelewając krew, czyni to, aby wyplenić »ród rozbójników«.

Wielkie jego serce ogarnia nie tylko własny naród. Każdy czyn Kościuszki wytryska z pragnienia szczęścia dla wszystkich, z dążenia do zniesienia wszelkiego ucisku i ugruntowania braterstwa ludów: za ten ideał walczy na drugiej półkuli. Pisma francuskie z końca XVIII w. nazywały go »une âme toujours occupée de grandes idées«. Nieśmiertelny Jefferson oświadczył o nim: »Jest to najczystszy syn wolności z pomiędzy wszystkich, jakich znałem kiedykolwiek«.

W ostatniej porozbiorowej epoce naszych dziejów skończenie doskonały typ polskiego bohaterstwa wystąpił w osobie Romualda T r a u g u t t a, dyktatora z r. 1863.

Gdy powstanie faktycznie już kona, Traugutt bierze na siebie obowiązek utrzymania go przez jesień i zimę 1863-64, do chwili oczekiwanej interwencji Europy. Wszystko dokoła wali się w gruzy. On, tropiony ustawicznie, niepewny każdej godziny, ze swego ukrycia warszawskiego, skupiając w swym ręku nici ruchu, prowadzi przez pół roku bezprzykładny w historii bój z wielkim mocarstwem, podtrzymuje nadludzkim wysiłkiem żywotność sprawy i stwarza pozory wojny, w której nie brak nawet zwycięstw. Do ostatniej chwili, gdy za progiem czyhają już siepacze carscy, trwa na stanowisku i z niezachwianym spokojem spełnia swą wielką i tragiczną rolę. Na koniec: jest już tylko piastunem czci narodu. Już tylko ma wzniośle umrzeć. I idzie na przeciw śmierci męczeńskiej z tym samym napięciem silnej woli, z jakim przez długie miesiące odpowiadał czynami na hasło Francji: »Durez!« Tracony z całym aparatem straszliwej okazałości, z którego Moskwa zapragnęła uczynić symbol swego tryumfu nad jeszcze raz pokonanym ciałem Polski, z głową wzniesioną w górę, przekroczył próg wieczności. Urzędowy historyk rosyjski i świadek naoczny Berg mówi: »Zanim rozstał się ze światem, już całe jego jestestwo należało do nieziemskich krain«.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO

W Żółkiewskim, Kościuszce i Traugucie znajdziemy z łatwością te same — pomimo przedziału wieków — bliskie sobie, skoncentrowane rysy polskiego bohaterstwa. W najbardziej zasadniczej postaci można je uogólnić jako ***wyznawanie wysokiego ideału moralnego i zespolenie go bezwzględnie ściśle z życiem.*** Wiek XIX wydał w narodzie naszym szczególnie krwawy urodzaj dusz bohaterskich z ich niczym nieugiętą, przez żadne katusze niezachwianą niezłomnością trwania przy tym, co poczytujemy za warunek bytu, godnego człowieka.

Jeden z twórców Nocy listopadowej, Piotr Wysocki, po trzechletnim więzieniu i skazaniu na śmierć, namawiany, aby prosił o ułaskawienie — kazał sobie do celi przynieść pióro i papier oraz napisał te wspaniałe i dumne słowa: ***„Nie dlategom broń podjął, ażebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, aby jej mój naród nigdy nie potrzebował“.*** Jak refren powtarzają się te słowa z pokolenia na pokolenie. ***„Co do mnie*** — woła Rufin Piotrowskiego, jeden z pierwszych Polaków wywiezionych na Sybir — ***wyznam, że nad wszystkie kary najokropniejszą wydawałaby mi się łaska cara“.***

„Jutro — powtarza w sto lat potem w przed dzień stracenia na szubienicy Józef Toczyński, członek rządu powstańczego — ***jutro niczego się tak nie lękam, jak łaski carskiej“.*** Polski Prometeusz, Łukasiński, uczestnik spisku z roku 1824, przeżył 37 lat w straszliwej twierdzy szliselburskiej, w której współczesny mu rewolucjonista (rosyjski) Bakunin po trzech tylko latach był bliski obłędu i samobójstwa. Kiedy w r. 1861 komendant Szlisselburga podjął zabiegi, aby ulżyć bezprzykładnej męce polskiego bohatera, Łukasiński w liście do niego zastrzega: ***„Bez żadnych próśb z mojej strony“.*** Roman Sanguszko przez udział w powstaniu 1831 r. postawił na kartę olbrzymią fortunę rodową; gdy po zapadłym wyroku, skazującym go na utratę mienia i 10 lat batalionów karnych, podsunięto mu, by prosił o łaskę i w jakikolwiek sposób usprawiedliwił przyczyny, które popchnęły go do walki, oświadczył krótko: ***„Z przekonania!“***

Obok tej cechy zasadniczej — niezłomnej zgody ideału z życiem — przewijają się przez polski typ bohaterski dwa dalsze zasadnicze rysy, które tkwią po przez wszystkie epoki w historycznie wytworzonej duszy narodu, ale zyskują szczególnie jaskrawy wyraz również w ostatniej tragicznej dobie naszych dziejów. Oto członek rządu narodowego z 1863 Rafał Krajewski w przed dzień śmierci śle z więzienia ***„miłość i pożegnanie całemu światu“***, modli się o ***„przyjście na ziemię królestwa bożego“.*** Oto drugi członek tegoż rządu, Roman Żuliński, katowany w śledztwie, rzuca swym oprawcom: ***„Możecie mnie tylko bić, nie możecie mnie sądzić, gdyż ja was nie uznaję“.***

W tych bezgranicznie wielkich wynurzeniach, wypowiedzianych w uroczystej chwili zamknięcia spraw doczesnych, mieści się p o z y t y w n a treść polskiego bohaterstwa:

n i e u z n a w a n i e p r z e m o c y

w a l k a o »k r ó l e s t w o b o ż e« — o w o l n o ś ć.

Adam Mickiewicz, tworząc w III części »Dziadów« wizję wielkiego męża, wyśnionego zbawcy i wskrzesiciela narodu, wyobraził go sobie jako niosącego wyzwolenie nie samej tylko Polsce, nie tylu a tylu kilometrom kwadratowym obszaru Europy, lecz w s z y s t k i m ujarzmionym i cierpiącym oraz zgodnie z tym skoncentrował jego rysy duchowe w okrzyku:

T o n a m i e s t n i k W o l n o ś c i, n a z i e m i w i d o m y!

Ten okrzyk, wydobyty z głębin duszy plemiennej, zawarł w sobie całą szeroką skalę p o l s k i e g o pojmowania wielkości *).

---

* Urywki z książki pt. »Duch dziejów Polski«, wydanej w Krakowie w r. 1917.

Na tropach legendy

Trębacz z Samarkandy

W Krakowie utrzymał się stary zwyczaj, że z wieży kościoła Mariackiego trębacz wygrywa co godzinę hejnał. Jest to krótka melodia, urwana na końcu — co ma być wspomnieniem z oblężenia miasta przez Tatarów, z których jeden trafił z łuku trębacza właśnie w połowie hejnału.

Na przedmieściu Zwierzyniec zachował się też z owych czasów obchód tzw. lajkonika, który wyobraża harce groźnego, pieszo-konnego Tatarzyna, walącego ludzi gumową buławą.

Poniższy artykuł przynosi bardzo ciekawy przyczynek do tych starych krakowskich zwyczajów.

REDAKCJA



Młodzi historycy mają zwykle pogardę dla wszystkiego co określane jest przez nas jako legenda, obrzęd, podanie ludowe i co nie może wylegitymować się świadectwem wyraźnych dokumentów. Mój przyjaciel inaczej. On raczej najbardziej zdawał się wierzyć właśnie tradycji ludowej. Uważał, że przechowywana przez ludzi o umysłach prostych, znacznie mniej ulega skażeniu niż wtedy, gdy biorą ją w objęcia swej fantazji ludzie określani jako wykształceni. Uważał, że jeśli jakąś wersję przechowuje jeden tylko człowiek albo paru ludzi czy dokumentów, jest ona znacznie mniej wiarogodna niż wersja przechowywana przez ogół mieszkańców pewnej wsi, dzielnicy czy miasta i przez masę ludzką przekazywana następnym pokoleniom. To też gdy w pewnej chwili zawrzał spór o tzw. »lajkonika«, mój przyjaciel stanął mocno po jego stronie. Wszyscy znamy historię lajkonika, nie warto jej powtarzać. Dość, że naraz wydłubano nie wiedzieć skąd, iż owa tradycja, z której Kraków był tak dumny i którą tak hucznie obchodził rokrocznie w okresie Bożego Ciała, jest wymysłem na pewno bardzo późnego pochodzenia! Albowiem nie znaleziono przecież w żadnych źródłach najmniejszego śladu, by Kraków doznał kiedyś takiego właśnie najazdu tatarskiego, o jakim mówi tradycja. Nigdy Tatarzy nie podeszli do miasta niepostrzeżenie i tak blisko, że mogli je chcieć opanować podstępem i — co ważniejsza — móc ubić z łuku strażnika na wieży Mariackiej w chwili, gdy ten grał hejnał. Tak samo nie ma wzmianki o tym jakoby rozgromiono później owych Tatarów i to tak, że ich wódz czy książę poległ. A nawet owe stroje, rzekomo wschodnie, w które przystrojony jest corocznie lajkonik i jego »tatarska« świta (wszystko zwierzynieckie zuchy), w niczym nie przypominają strojów krymskich, wiadomo zaś, że z Krymem mieliśmy do czynienia. Są to stroje raczej z głębi Azji, znad granicy perskiej, typowo orientalne, aczkolwiek wypaczone w toku lat. Profesorowie, jak wiadomo, nie lubią legend, a lubują się w ścisłości.

Lud krakowski nie bardzo się przejął owymi odkryciami profesorskimi. Ale mój przyjaciel począł kruszyć kopie z dobrą półkopą mędrców, zasiadających rokrocznie w stallach Collegii Novi. Przypomniał, że przecież hejnał mariacki był niegdyś grany z baszt na murach miasta i że na jednej z tych baszt mógł być postrzelony ów trębacz; wywodził, że w kronikach są luki i niedokładności; że jeśli czegoś nawet nie było w kronice, w życiu przecież mogło się zdarzyć. Dyskusja się toczyła, lata też — mój przyjaciel na marginesie innych prac bronił swej legendy.

W r. 1939 powołano go do wojska na ćwiczenia rezerwistów. Pisał do mnie gdzieś z Ostroga: »Zwiedzam Twoje rodzinne strony«. Niebawem miał zwiedzić je w sposób nieco dokładniejszy. Znalazł się bowiem w Starobielsku, potem w Griazowcu i wreszcie w Taszkencie. Po dwóch latach poniewierki mundur polowy wojska polskiego był wyświechtany, obskubany, wycerowany, ale więcej w nim było sławy niż w niejednym sztandarze, co to nigdy poza defiladami nie widział frontu. Człowiek zszarzał się, ściągnął, ale fantazji nie stracił. Dużo czytał, trochę pisał.

— Żałuj, żeś tego wszystkiego nie przeżył. Kozielsk, co tam za monastyr! Prawosławny barok! Zjeździłem, jako oficer kwaterunkowy, całą środkową Azję sowiecką. Co to za wspaniałość! Buchara! Samarkanda!

Wiesz — mówił — muszę się przyznać, że gdy nas skierowano znad Wołgi do tamtych okolic, odetchnąłem odrazu. Krajobraz takiego Jungi-Julu na przykład, to czasem krajobraz podkarpacki. Poza tym byli tam ludzie. Jest to stara rasa, na swój sposób kulturalna i cywilizowana. Ma ową godność, jaką mają mieszkańcy Maroka i Arabowie Palestyny. Myśmy dla nich prócz tego byli synami Lechistanu. Nie ma dla tych ludzi żadnej Łotwy, żadnej Czechosłowacji. Nie słyszeli o Holandii, Szwajcarii czy Hiszpanii. Ale o Lechistanie słyszeli. Tak jak my ongi o Turcji.

Otóż nas, Polaków, wojsko, witano niezmiernie serdecznie: Uzbekowie, Tadżikowie, Kirgizi — wszyscy. Ale dopiero w Samarkandzie rozpływano się w gościnności typowo wschodniej, orientalnej, nasiąkniętej jakimś tajonym interesem. Interes był rzeczywiście bardzo dobrze utajony. Nie wyszedł nawet wtedy, gdy zapytano nas, ni to z głupia frant, ni to nie wiedzieć co:

— Jesteście synami Lechistanu, prawda?

— Jesteśmy.

— I jesteście żołnierzami, prawda?

— Jesteśmy.

Kilku starszych, o pomarszczonych, pożółkłych na brąz twarzach, zadumało się, raz jeszcze stwierdziwszy to, co wiedzieli przecież oddawna. Po czym pytali dalej jakby od niechcenia:

— I wierzycie w Boga? W swego dawnego Boga, tak?

— Wierzymy, księży mamy, o patrz, krzyże nosimy — odpowiedzieliśmy.

Starzy ludzie popatrzyli na wyjęte z zanadrza krzyżyki. Takie z puszek po konserwach wycięte. Zdawało się, że ich to dziwnie raduje.

— I trębaczy macie?

— Mamy.

Jak wiesz, instrumenty muzyczne mieliśmy bardzo prędko: rozumiesz przecie, jakby wyglądało święto

pułkowe czy defilada bez orkiestry. Nie wiem, jak tam u was w Szkocji, ale u nas to tego nie brakło.

Po przerwie Uzbekowie rzekli:

— Bo my mamy tu do was jedną wielką prośbę... Jeśli jesteście z Lechistanu i jesteście żołnierzami... i wierzycie w swego Boga... i macie trębaczy... to czy nie moglibyście jutro wieczór kazać waszym trębaczom, by zatrąbili na naszym starym rynku? Na wprost meczetu, w którym leżą prochy Wielkiego Timura?

— Zgoda.

Starzy ludzie podziękowali, dziwnie --- jak na Wschód --- krótko i odeszli. Jeszcze odprowadzeni spytali w progu:

— Czy na pewno zagracie?

— Zagramy.

Nazajutrz uświadomiliśmy sobie, że jest to czwartek, przeddzień mahometańskiego świętego dnia. Pamiętam, że ktoś w oficerskiej stołówce zwrócił nawet na to uwagę. Że może ma to jakiś związek. Ale naprawdę poczuliśmy to dopiero wieczorem.

Pułkownik, który lubi takie rzeczy, postanowił wystąpić godnie. Trębaczy wyczyszczono jak się należy, trąby również --- wszystko --- a jakże. Wieczorem przed meczetem w Samarkandzie --- słynnym meczetem, gdzie spoczywają prochy Tamerlana --- czerniał tłum tak zbity, gęsty i tak nieruchomo czekający, jak tylko na Wschodzie azjatyckim tłum czekać może. Zupełnie zastygł. Falował tylko pomrukiem. Nawet przyległe ulice i bazary były zapełnione. Jedynie przed meczetem widniała niewielka otoczona mrowiem łysina pustego bruku. Ku niej podeszli trębacze. To było miejsce dla nich. Zagrali raz, drugi i trzeci. Zagrali pobudkę wojskową, zagrali jakiś apel, zagrali wreszcie hejnał. Nasz, mariacki. Pamiętasz, jak grano go w Tatiszczewie, w grudniu?

Wiesz dobrze, jaka jest ulica w takiej Samarkandzie czy innej Bucharze. Otóż wtedy nie było nic z tego wrzasku, rejwachu, wobec którego nasze Nalewki czy Kazimierz są oazą cichości. Oni naprawdę zmartwieli. Muzyka na nich tak działała, czy co? W milczeniu słuchali, w milczeniu się rozeszli. Aleśmy wtedy już zrozumieli, że coś w tym jest. No i zaczęliśmy tropić, wietrzyć, węszyć. Ale ludzie Wschodu byli nieprzeniknieni. Nie chcieli nic powiedzieć.

Przyjaciel uśmiechnął się:

— Pierwsze wygadały się kobiety...

Z relacjami świadków jest jak z relacjami w archiwach. Znajdziesz coś w Jagiellonce, porównasz z czymś w Rapperswilskiej. Byle było zahaczenie. Zahaczeniem było to, co mi powiedziała owa dziewczyna. Potem wygadali się starzy ludzie, co to znali lepiej.

Jest okazuje się w Samarkandzie pewna legenda. A raczej proroctwo. Otóż oni kiedyś brali udział wespół z Tatarami w najazdach na Polskę. I oto raz dopadli do miasta, »które u was --- tak mi powiadał Uzbek --- jest tym samym, czym u nas Samarkanda...«

— Kraków? --- zapytałem nagle.

— Nie wiem, tego mi nie powiedział; i nazwy legenda nie podaje: mówi tylko, że bardzo stare i bardzo bogate miasto...

— Jeśli bogate, to nie Kraków.

— Przepraszam, w ich pojęciu także Samarkanda jest bogatym miastem.

— No, jeżeli Samarkanda... --- przyznałem.

— ... bardzo stare i bardzo bogate miasto, stolica kraju. I miasto święte. Właśnie z jednego z minaretów --- jak oni mówią --- tego miasta trąbiono modlitwę. Tatarzy podkradli się pod same mury. Chcieli miasto wziąć przez zaskoczenie. I wtedy...

— Toż to lajkonik!

— Uważaj! I wtedy gdy trębacz zaalarmował miasto, strzała z tatarskiego łuku przeszyła mu gardło. Zginął, ale zaalarmowane miasto obroniło się. Tatarzy ponieśli klęskę.

— Więc to naprawdę nasza legenda!

— Poczekaj. Ale czy wiesz dlaczego chcieli, żeby nasi trębacze zagrali w ich mieście, na wielkim placu u progu meczetu?

— Dlaczego?

— Ano, to może jeszcze ciekawsze. Nawet znacznie ciekawsze. Otóż wyobraź sobie, że owi Tatarzy mieli ongi szlachetny zwyczaj spisywania dokładnych raportów po każdej wyprawie. Jaki miała przebieg, jak długo trwała, jak wojowali przeciwnicy, gdzie łup był bogatszy w bydło a gdzie w kobiety. Raporty takie były po powrocie do ojczystych stepów poddawane badaniom komisyj, gdzie zasiadała starszyzna, a więc i kapłani. Szczególnie pilnie badano raporty, jeśli wyprawa poniosła klęskę.

Pomyślałem sobie, że nie był to wcale taki zły wynalazek i że cywilizacja polityczna Tatarów w w. XIII stała wyżej od krajów lepiej mi znanych. Ale słuchałem dalej.

— Przyczyny klęski zbadano tym dokładniej, że zginął w niej jakiś królewicz tatarski, syn wodza, czy coś takiego. Zupełnie więc jak w naszej legendzie krakowskiej. Jak widzisz, czasem legendy mają rację. Kapłani nie biedzili się długo nad swą wyrocznią. Orzekli oni niebawem, że klęska była spowodowana karą nieba za to, że w czasie gdy miasto zabierało się do modlitwy, przerwano znie-

Podzięka gór

(Wyróżnione na III konkursie „Gońca Obozowego")



Gorgany... złomiska maliniaków, pokrytych jasno zielonym porostem, związane gibkimi ramionami ciemno zielonej kosówki, silnie odbijające od głębokiego błękitu nieba, po którym suną wolno kłęby białych chmur...

Gorgany... którem umiłował dla waszej ciszy i samotności, po których stąpała ma noga ozuta w kuty but lub sunęła cicho wsparta na deskach nart...

Gorgany... któreście były bramą wyjścia naszego z Ojczyzny, którym powierzyliśmy los nas kilku, abyście opieką za miłość odpłaciły, a ciemną znacząc się na horyzoncie masą przyjmowały ostatnie spojrzenia żegnających swą ziemię...

... jesteście żywe w mym wspomnieniu, jakby nie było tych samotnych i tęsknych godzin między nami... jak żywe są te chwile z wami ostatnie...

Ogonek o świcie na Żółkiewskiej już nie był nowością. Zszarzałe postacie, cicho przyparte do

nacka jego pacierze... Nie wiem, dlaczego tak właśnie orzekli. Może dlatego, że wszyscy kapłani mają poczucie solidarności, może dlatego, że nie znalazłszy innych przyczyn chcieli w ten sposób wyrazić to, co my nazywamy »vis maior«. Dość, że tak orzekli. I dodali jeszcze przepowiednię, nader ponurą dla tych wszystkich ludów. »Czyn wasz — mówili — ześle na was karę nieba. Jak wyście innych brali w niewolę, tak sami w obcy jasyr pójdziecie. Nie będziecie tratowali cudzych ziem co wiosnę, ale inni wasze ziemie stratują. Jednak i dla was zabłyśnie jeszcze nad stepem słońce pomyślności. Ale nie nastąpi to zanim trębacz z Lechistanu nie zatrąbi na rynku w Samarkandzie pieśni, której wtedy nie skończył«. Tak powiada legenda samarkandzka. I tak wierzą wszystkie plemiona mongolskie od Tien Szaniu po brzegi morza Kaspijskiego. To nawet, że tak właśnie wierzą, jest może najważniejsze.

— Więc to jest autentyczna legenda?

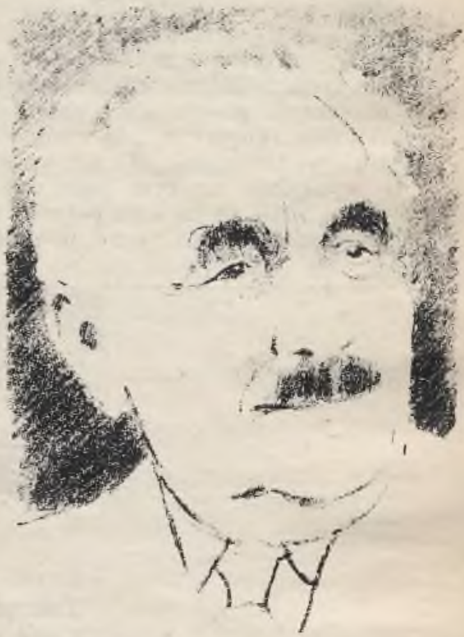
— Cóż to znaczy: legenda autentyczna? Bywają dokumenty autentyczne lub podrobione; nie ma autentycznych lub podrobionych legend. Legendy nie mają metryki. Kraje nowe nie mają legend; kraje stare je mają. Legenda fermentuje w mózgu paru pokoleń, jak wino w kadziach nabiera siły. To pewna, że tutaj nikt nie słyszał o Krakowie, o hejnale, o naszym lajkoniku. Ale mieli legendę, która jest jakby połową naszej legendy. Jak w naszym kilimie odnajdujemy ich stepowe wzory, tak w rysunku owej legendy odnajdujemy ślad naszej...

Ksawery Pruszyński

Czy zaopiekowałeś się już dzieckiem polskim w kraju?

Patrz, co w tej sprawie piszą do nas z Gudo (str. 16).

Dr Jan Lagutt



Rozliczne są na ziemi helweckiej ślady polskiej historii i kultury, rozsiane na przestrzeni kilku już stuleci. Także ostatnie czasy zaznaczyły się tutaj twórczością i pracą wielu polskich artystów, uczonych i inżynierów, a takie nazwiska, jak Narutowicz, Mehoffer, Paderewski, Mościcki Opieński itd. znane są równie dobrze Szwajcarom jak i Polakom. To też z wielkim zadowoleniem czytaliśmy niedawno w prasie tutejszej słowa gorącego uznania, skierowane do naszego rodaka — obywatela szwajcarskiego, dra Jana Lagutta, z okazji 70. rocznicy jego urodzin.

Dr Jan Lagutt, ur. w Warszawie, w rodzinie rzemieślniczej, kończy w swoim rodzinnym mieście gimnazjum realne, po czym odbywa w wielkiej łódzkiej farbiarni dwuletnią praktykę, którą kończy na stanowisku podmajstrzego, zapoznawszy się do podstaw z zagadnieniami przemysłu barwików. W r. 1893 przenosi się na stałe do Szwajcarii, gdzie poświęca się nauce chemii, uzyskując stopień doktora nauk przy-

---

muru, drgnęły z zaciekawienia na widok kilku objuczonych walizkami, sunących ku dworcowi. Ciekawe typy! Wyglądałoby na ucięty płaszcz żołnierski, zafarbowany na czekoladowo; kurtka — jak się patrzy; buty — i owszem, w harmonijkę i sfatygowane mocno. Waliza, że ledwie ją dźwiga. Ta nie ma co mówić, widok klawy!

...Innego był zdania żydek-milicjant z czerwoną opaską w Stanisławowie na dworcu. Gęby coś nie tego. Burżuje! Może i nie zaszkodzi zameldować towarzyszowi komisarzowi.

Za chwilę »pażausta« żołdaka przeniosło nas migiem przed oblicze władzy. Milicjant gorliwie tłumaczy. Kto? gdzie? poco? Otwarły się kufry, ukazały główki kapusty, ziemniaki, zabawki drewniane. Ot! kochani, tęskniący, oczekiwani ojcowie. W Mikuliczynie rodzina... można zawsze sprawdzić... rozumie się... owszem... naturalnie!

Można odejść!

...Gdy szło się na Jawornik z uśmiechem na ustach, a z miłym dziewczęciem u boku, lub pędzlem chlapało się po pniach drzew szlak, mający wieść gromady bezradnych niedzielnych turystów, to nie to, co po omacku wąchać ścieżkę i przymykać oczy przed blaskiem białych, wełnianych skarpetek towarzysza... Światło z lewa, światło z prawa, szczeknięcie psa i coraz wyżej. Wilgoć lasu, troszkę siąpi deszczyk. Byle cicho. Nie kaszlnąć. Lepiej nie. Wnet las się skończy. W ciemnościach dłuży się on, poszerza i pogłębia. Będzie połonina, perełaz, potem płajem dalej w górę. Ominiemy staje, potem już tylko w górę, byle sami...

...Słońce już mocno grzało z lewej, gdyśmy osiągali pierwszy szczyt głównej grani. Jeszcze rzadki lasek i zobaczymy... Stuk laski o kamień... znieruchomienie... przypadamy do ziemi. Cisza... Usłyszeli i nas... Mamy przewagę, bo widzimy — jeden sowiecki żołnierz i dwóch tubylców z karabinami. Przypadli do ziemi niedaleko od nas z drugiej strony krzaków. Nie byli w sosie. Tylu się teraz włóczy po lasach z granatami w kieszeni! Lepiej nie zaczynać. Nimeśmy odetchnęli, zemknęli cicho w dół.

...Jawornik się dziwił: bo tak samo jak za dawnych dobrych czasów bezczelnie się na nim rozsiedli i wcinali. Z apetytem. A było co! Bo już jak nieść, to nieść. Jeszcze żony, siostry i matki nie przeczuwały, że im samym zabraknie. Niech chłopcy mają! Czyż była sekunda sprzeciwu, gdy się po dłuższej chwili milczenia rzuciło — ot, tak niechcący — idę!? Bo przecież w radio... o Francji...

...Że szczęście mieli, to mieli. Bo maliniaki jak ten stół, jeden na drugim zwalone, więc skacz jak kozica, a bacz, byś nosa nie zbił i zębów nie zgubił. A tu coś stoi! Stoi, jak babcię kocham! Garnek niebieski! Kwarta masła, ładnie listkiem

rodniczych. W 1898 obejmuje stanowisko chemika w zakładach przemysłowych Sandoz et Cie i przeżywa tu okres rozkwitu tego przedsiębiorstwa. Uzyskuje ono niebawem światowy rozgłos, do którego i dr Lagutt w niemałej przyczynia się mierze, pracując najpierw w naukowym laboratorium doświadczalnym, następnie zaś głównie w dziale związków ubocznych, powstających przy fabrykacji barwików. Wkrótce skupia on całą swoją uwagę na zagadnieniu wydobywania s a c h a r y n y z barwików i wynajduje na tym polu nowe, własne sposoby, wzbogacając technologię barwików o szereg związków pośrednich, pochodnych i ubocznych. Zastosowanie tych zdobyczy w wytwórniach Sandoz et Cie przyczynia się do tego, że dr Lagutt powołany zostaje do głównego zarządu wytwórni gdzie na stanowisku jednego z dyrektorów pozostaje do dnia dzisiejszego.

Dr Jan Lagutt dobrze jest znany w naszej Dywizji ze swej działalności na rzecz internowanych. Pomimo bowiem swego już tak dawnego obywatelstwa szwajcarskiego, wcale nie zatracił żywego poczucia wspólnoty z narodem polskim, a polską pisownią swego imienia stale podkreśla swe pochodzenie.

Z okazji powyższej rocznicy składamy naszemu wybitnemu Rodakowi i Przyjacielowi najserdeczniejsze życzenia »ad multos annos«. **Redakcja**



Wierzę

Z pól bezkreśnych Sybiru, z Wyspy mgieł i słoty,
stamtąd, gdzie świeże krzyże wznoszą się przy drodze,
z gór Helwecji śnieżystych, z Egiptu spiekoty —
zewsząd, gdzie Biały Orzeł trzepotał w pożodze —
ślą do Ciebie marzenia, krwią serdeczną wrzące,
co się rozstać musieli z praojców spuścizną,
wszystkie myśli, pragnienia, modlitwy gorące,
wszystkie sny i nadzieje — do Ciebie, Ojczyzno!
Śpisz w nas, we wszystkich sercach, Ty, coś nie zginęła!
Stąd nikt nam Cię nie wydrze, tego nie odbierze,
czego przemoc, katusze, niewola nie wzięła...
Słowo ciałem się stanie... Boże wielki — w i e r z ę!

M. T. JAROSZEWICZ

przykryta, a byś wiedział, że piśmienny zgubił... »Kuryerek« krakowski obok się bieli. Daj wam Boże zdrowie! Spieszyć się można, ale tak głowę stracić by o maśle zapomnieć?!

...Na kamieniach i cetyna nie pomaga. Twardo i kole, jak na madejowym łożu. Ognia nie wolno zapalić. Gwiazdy się skrzą, w oddali światła Nadwórny czy Stanisławowa. Modlitwa mknie ku swoim, jeszcze śpiącym spokojnie — nie śniącym o lasach Rosji, które na nich czekają. Szliśmy, by dużo znieść, by dla nich wiele znieść. Któż mógł wiedzieć, że im cięższy los przypadnie w udziale? Czyż była siła ludzka, by to odwrócić?

...Dzień słoneczny patrzył na nas pobłażliwie jak kluczyliśmy manowcami chytrze i przezornie. Czasem tylko któraś grań odezwała się wspomnieniami dawnych wędrówek, czasem przyspieszało się bicie serca, gdy z dala wyłaniał się widok grzbietu, którym sunęła granica. Granica! Od Wisły po Stoh nie było jednej jej piędzi, którejby nasze stopy nie przemierzyły. Nieraz wiodła nas ona przez całe Karpaty i przytulała nasze namioty. A teraz stała się nagle krańcem ziemi...

...Czy znacie wrażenie, gdy włosy dęba stają? Słońce już dawno zaszło i mrok gęstniał coraz bardziej, gdyśmy podciągali cichcem pod granicę... Któż to zabawił się w tak niemiłego fryzjera naszych czupryn? Ot, zwykłe szczekanie! Natośmy tak zmyślnie kluczyli po manowcach, by teraz, tuż nad granicą wpaść na psisko straży sowieckiej? Przykre uczucie siedzi jeszcze do dzisiaj za skórą. Był to jednak udany żart gór, które, chroniąc nas dotąd troskliwie, na pożegnanie dobrotliwie z nas zakpiły. Strach ma wielkie oczy, czasem trudno przypomnieć sobie odrazu, jak szczeka... rogacz! Lekko przeskakując przez zwały pni, był z siebie nadzwyczaj zadowolony.

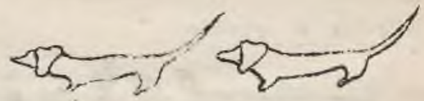
...Właśnie wyjrzał księżyc z za chmur, gdyśmy ostrożnie, zwolna, z początku na własnych brzuchach, potem śmielej, biegiem, wyszli ze swej ojczyzny na zew, który fale eteru ku nam słały! Spadł z serca kamień. Góry nie zdradziły! Zwróciły z nawiązką za to wszystko, co im kiedyś z serca dawaliśmy.

...Szliśmy w dal węgierską z ufnością, a przed nami i za nami tylu innych. Góry żegnały nas i oddalały się coraz bardziej, lecz w każdym z nas rozniecały iskrę czynu, jako zarzewie na daleką drogę... Może i na szczęśliwy powrót. *(a. w.)*

M a l i n i a k i — złomy skalne pokrywajace partie szczytowe Gorgan. G o r g a n y — najdziksza część Karpat wschodnich od rz. Świcy koło Bolechowa az do rz. Prut. Najwyższy szczyt Sywula 1818 m. P o ł o n i n a — hala, łąka górska. P e r e ł a z — przejście w płotach ogradzających pastwiska. P ł a j — ścieżka. S t a j a — szałas, chata pasterzy górskich. C e t y n a — ucięte gałązki drzew iglastych. S t o h — góra w Czarnohorze, na której schodzą się granice 3 państw: Polski, Rumunii i Węgier.



ZUZI



Kiedy przybyłem na nowe m. p., Zuzi była w ciąży.

Jej ogromne wilgotne oczy wyrażały powagę chwili oraz dostojeństwo macierzyństwa. Ruchy, aczkolwiek nieco ociężałe, nie straciły wdzięku.

Od pierwszej chwili przypadliśmy sobie do gustu: żołnierz w szarym mundurze oraz czarna mała psina. Albowiem --- zapomniałem moją przyjaciółkę przedstawić --- pochodziła ze szlachetnej psiej familii jamników.

Kiedy ciąża dobiegała końca, Zuzi zniknęła na parę dni, a gdy zjawiła się znowu --- była już smukła i powitała mnie żywo, szastając zamaszyście ogonem. Poród odbył się na strychu szopy, dokąd prowadziły strome schody. Zuzi wlokła mnie po nich skacząc, piszcząc i naszczekując hałaśliwie. Oględziny wykazały troje mikroskopijnych szczeniąt: dwoje czarnych jak matka, nazłacanych nieco brązem, oraz jedno czekoladowe, widocznie z innego małżeństwa.

Atawistyczna moja skłonność do płci nadobnej oraz staropolskie dla tej płci uszanowanie sprawiły, że wkrótce znalazłem się pod pantoflem Zuzi. Umiała ona z naszego przyjacielskiego stosunku znakomicie wyciągnąć doraźne korzyści. Ponieważ atoli czyniła to nie z pobudek egoistycznych, ale w imię macierzyństwa --- wybaczałem jej wszystko całkowicie.

Historia tak się przedstawiała: Skoro szczenięta zaczęły zamglonymi oczyma rozróżniać otaczające je przedmioty, następowały co rusz krajoznawcze wycieczki po strychu, inspirowane pierwszymi pobudkami psiego instynktu. Często się więc zdarzało, że ten i ów malec staczał się z przeraźliwym wrzaskiem po schodach. Leć, naturalnie, człowieku, zbieraj nieporadne szczenięta i znoś je do legowiska!..

Kiedy szczenięta dobrze podrosły i zaczęły już same jeść, nie gardząc jednakowoż mlekiem matki — zostały one internowane na małym podwórku, otoczonym żelazną siatką, gdzie mieściła się psia buda. Codzienne moje odwiedziny internowanych szczeniąt nie dziwiły małych ani tym bardziej Zuzi. Od tego czasu byłem klucznikiem psiego miejsca odosobnienia. Zuzi, mając wyrękę w odbywaniu »wachy«, puszczała się na dalsze spacery, na wycieczki i po jedzenie. Nie krępowała się porą. Wielekroć musiałem wstawać w nocy, schodzić na dół i otwierać wrota celem wpuszczenia Zuzi do dzieci. Mogłem już nawet spać błogo — wtedy sprytna Zuzi tak długo szczekała pod moim oknem, aż musiałem swojej powinności dopełnić. Skoro światło zabłysło w moim pokoju, szczekanie ustawało i Zuzi oczekiwała mnie spokojnie przy wejściu do zagrody, nie łasząc się nawet zbyt wdzięcznie, jak gdyby to, co robię --- było naturalne i zrozumiałe. Szczenięta zaalarmowane szczekaniem matki oczekiwały również otwarcia zagródki. Zbieraj więc wszystkie po ciemku i pakuj do budy!..

Małe baraszkowały za drutami, rosnąc w oczach. Pewnego dnia przyszli obcy ludzie, wtargnęli do zagrody i oglądali psy. Zuzi nieufnie asystowała przy tej ceremonii, warcząc. Za parę dni psy przepadły: sprzedano je. Zrozumiałe jest, że psia matka --- jak każda zresztą matka --- popadła w rozpacz po stracie dzieci. Serdeczne cierpienia potęgowały jeszcze bardziej fizyczne boleści, gdyż piersi jej nabrzmiałe były obficie mlekiem. Poszukiwania szczeniąt nie dały rezultatu. Zuzi wracała zmęczona i apatyczna. Opiekowałem się nią serdecznie, rozumiejąc jej cierpienie. Przekonywałem ją, że zapomi, że już niejedna gromadka jej dzieci rozpierzchła się po świecie, że my, ludzie, jesteśmy w gorszych pod tym względem warunkach, bo nie zapominamy tak łatwo. Jej piękne smutne ślepia patrzyły w moje oczy, zasypiała na moich kolanach, jednakże nawet jej sen przerywały ciężkie westchnienia.

W miarę odzyskiwania normalnej linii humor jej jednak się poprawiał. Moje przemowy już nudziły ją, ograniczała się coraz częściej tylko do przywitania. Coraz rzadziej zaszczycała mnie swoim towarzystwem.

Kiedy oczekiwałem na pociąg, który miał mnie zawieść na nowe m. p., zobaczyłem Zuzi w towarzystwie zuchowatego jamnika. Na moje zawołanie przystanęła --- chwila zastanowienia --- machnęła ogonem bez większego zainteresowania i pogoniła wdzięcznie w stronę zielonej łąki. Wyrozumiałym spojrzeniem odprowadziłem oddalającą się parę.

— Adie, Zuzi!

Gdybyś mogła przeczytać moje wspomnienia, zrozumiałabyś, że miałem rację: ludzie nie zapominają tak łatwo.

Może dlatego właśnie żołnierska dola wydaje się czasem psią dolą...

Jan Sawka

TO i OWO

— **Opowiadanie wschodnie:** Wu-Czan, potężny cesarz Chin, zwykł był prowadzić częste wojny, których jedynym celem było zaspokojenie jego bezgranicznej rządzy władzy i podbojów. Toteż pod rządami jego upłynęło wiele łez i krwi. A jakkolwiek uczeni przestrzegali go przed skutkami zła i przed niepotrzebnym rozlewem krwi, sposobił się nieodmiennie do coraz to nowych wojen.

Zdarzyło się, że pewnego dnia wykończył ogromny plan wojenny, zmierzający do podbicia wszystkich sąsiadów. Miał jednak pewne wątpliwości, czy plan ten powiedzie się i dlatego kazał wypowiedzieć o nim swoje zdanie mądremu Kou-Pao.

— Najpotężniejszy władco — rzekł mędrzec — twój plan jest niewątpliwie dobrze przemyślany, ale pozwól mi, że zadam ci kilka pytań. Dlaczego zamierzasz rozpocząć wojnę z cesarzem Dżen?

— Ażeby powiększyć granice mego państwa i uczynić je potężniejszym — odpowiedział Wu-Czan.

— A co zamierzasz uczynić potem? — zagadnął Kou-Pao.

— Potem napadnę na jego przyjaciół i pokonam ich również.

— A co się stanie, gdy już tego dokażesz? — badał mędrzec dalej.

— Wtedy będę zażywał spokoju, ciesząc się swym bogactwem i błogim zadowoleniem.

Wówczas Kou-Pao uśmiechnął się i rzekł: — Jeśli to jest twoim ostatecznym celem, cóż stoi ci na przeszkodzie osiągnąć to już t e r a z, kiedy jako możny i potężny władca możesz to zaraz uczynić?

Na to pytanie nie mógł Wu-Czan odpowiedzieć i odtąd kraj jego zażywał długiego spokoju.

Wiedza o wojnie

Walka w dżungli

Jedno z pism angielskich podaje uwagi o oryginalnym filmie, noszącym tytuł »Zapomniany front« i obrazującym niesłychane trudy walk na Nowej Gwinei, — tej wielkiej wyspie, bronionej uparcie przez Japończyków przed zwycięskim naporem wojsk australijskich. Boje toczą się w tzw. dżungli, czyli w bujnej puszczy gorących krajów, trudnej do przebycia i pełnej zasadzek ze strony przyrody oraz wroga. Oto urywek z tego ciekawego opisu:



»... W pierwszym rzędzie wchodzi w grę dżungla. Jest ona zawsze i wszędzie obecna, dymiąca parą i wyziewami, wstrętna dżungla, która z zielonego kłębowiska pnączy i roślin wyciąga swe macki, aby wyssać szpik z kości tych, którzy w tym piekle muszą walczyć. Wszędzie rozlegają się przeraźliwe, zachrypłe głosy jakichś osobliwych i nieznanych ptaków. Tu i ówdzie spada z oparów zamglonego nieba spadochron, u którego wisi nie człowiek, ale żywność i różnego rodzaju materiały, mające utrzymać żołnierza przy życiu lub uchronić go do pewnego stopnia przed śmiercią. Ale ponad wszystkim i dokoła wszystkiego unosi się i panuje owo morze zieleni, które pozbawia tchu, odbiera oczom zdolność widzenia.

Niekiedy, gdy ludzie zdołają przedrzeć się w tym zielonym piekle do jednej z otwartych polan, widać przez chwilę twarze tych ludzi na filmie. Są to twarze ludzi, którzy na brzegu czyśćca piekli się na wolnym ogniu. Gdyby film ten nakręcano przed wojną, a garstka gardzących śmiercią badaczy zdecydowała się podjąć walkę przeciw wszechmocnej tam przyrodzie — cały świat nazwałby tych ludzi najdzielniejszymi wśród dzielnych. O ileż gorsza dola jest udziałem tych dzisiejszych bohaterów ze stali, Australijczyków, tych mieszkańców Ameryki lub Nowej Zelandii! Bo nie tylko przecież dżungla jest ich wyłącznym wrogiem!

Niewidoczni i bardziej jadowici od węźów i owadów, których ukłucie powoduje gorączkę, czyhają w dżungli owi mali, żółci wojownicy, którzy z niemal religijnym opętaniem poprzysięgli sobie narzucenie swojej kultury całemu obszarowi Azji wschodniej.

Wyobraź sobie, Czytelniku, że posuwasz się wśród gromady ludzi, którzy idą gęsiego, przedzierając się wśród niebywałych trudów przez zwarty mur zielonej dżungli. Jeśli kiedy przyglądałeś się temu, jak mrówka podejmuje rozpaczliwe wysiłki, aby przedrzeć się przez kłębowisko źdźbeł trawy, gałązek i igliwia, wowczas możesz mieć wyobrażenie o tym, co znaczy być człowiekiem posuwającym się w dżungli na Nowej Gwinei.

A następnie wyobraź sobie, jeśli możesz, że w ogóle nie wiesz, czy następny twój z takim trudem zdobyty krok nie będzie krokiem ostatnim. Zauważyłeś, jak lekko zadrżały tam w głębi zarośla? Kto wie, może czeka tam wśród nich z palcem na spuście, gotowy do strzału mały, nerwowy, żółty strzelec wyborowy! A przecież ów zwój pnączów, wyglądający jak pogmatwany kłąb zielonej wełny, może udzielić schronienia więcej niż setce ludzi, leżących w zasadce!

Gdzieś daleko w tyle rozlega się głuchym grzmotem moździerz, a oto przed tobą rozsypuje się w drzazgi chata krajowca, sklecona z trawy i gałęzi. Czy ktoś znajdował się wewnątrz? Nie można odpowiedzieć na to z wszelką pewnością. Jednakowoż przezorność w tych warunkach jest lepsza niż żal po niewczasie, któremu mógłbyś się potem długo, bardzo długo, gdyż całą wieczność oddawać.

Jakiś chudy, wysoki chłopak ze spotniałą twarzą występuje naprzód. Strzela z biodra ze swego pistoletu maszynowego, a odgłos strzałów rozlega się w sklepieniach tej zielonej puszczy tysiącznym echem. A gdy się zbliżysz do szczątków tej chaty, zbudowanej z trawy — cóż ujrzysz? Kilku Japończyków wijących się w walce ze śmiercią, z potwornie pokurczonymi rękami i nogami. Z bezzębnych ust jednego z nich sączy się strużka ciemnej krwi,

OBYCZAJE POLSKIE

Od turonia i niedźwiedzia — do śledzia

Odeszła szopka w zimowy, śnieżny wieczór, szopka piękna, wesoła, z rojem misternych kukiełek. Przesunęli się przed nami Trzej Królowie, barwni i złotem lśniący. Ścichły stare najmilsze kolędy.

Mieliśmy mięsopust-karnawał, którym, jak się to utarło, nazywano roztańczony, wesoły okres, zaczynający się od Nowego Roku czy Trzech Króli i trwający aż do Środy Popielcowej.

W odwiecznych zwyczajach, które gdzieniegdzie lud wiejski jeszcze u nas w Kraju zachował, okres mięsopustu łączy się ściśle i jest jakoby przedłużeniem kolęd, jasełek, chodzenia z gwiazdą i trzejkrólowych wędrówek. W święta Bożego Narodzenia, na Nowy Rok, w Trzy Króle, w ostatnie dni zapustu, albo w środku karnawału przy lada jakiej okazji po wsiach chodziły dziwne, niesamowite zgoła postacie.

A więc np. dwóch silnych parobków ciągnie na sznurach jakiegoś przeraźliwego potwora. Głowa wielka, rozwarta paszcza z purpurowym jęzorem i podniebieniem, gęsta broda, głowa skórką zajęczą pokryta, a z tyłu koński ogon. Trzeba zaiste dużo mieć fantazji, czy dobrej woli, aby się domyślić, że to t u r. Potwór ten kłapie przedziwnie i bardzo strasznie paszczęką, błyska czerwienią ziejącej niby ogniem piekielnym paszczy i pobrzękuje dzwoneczkiem, zawieszonym u szyi. Mało tego. Potrafi połknąć całe jabłko, wychyla kieliszek, stuka kijem o podłogę, staje dęba, a ryczy przy tym tak przeraźliwie, że nawet starsi, słysząc go, czują niemiły dreszczyk niby lęku.

»Chodzenie z turońkiem«, tj. z małym cielęciem tura — t u r z ą t k i e m, pochodzi z bardzo dawnych czasów, kiedy jeszcze tury żyły w naszych lasach.

która krzepnie, wsiąkając w gąbczastą ziemię, aby zapewne podnieść jeszcze bardziej jej nieokiełznaną płodność.

Ale potyczka skończona. Australijczycy znowu ustawiają się w rzędzie. Kilku lżej rannych otrzymuje opatrunek na miejscu zanim ruszą w dalszą drogę. Inni, ciężej ranni, są składani ostrożnie na noszach: dzicy mieszkańcy puszczy odniosą ich do tyłu. Ci puszczańscy ludzie wyglądają niesamowicie. Ale są wiernymi i bezcennymi sprzymierzeńcami oraz okazują się w wieloraki sposób pomocni. Aby odnieść do tyłu 40 rannych, potrzeba do tego w tych warunkach około 400 ludzi dobrze obeznanych z puszczą.

Towarzysze broni żegnają swoich rannych kolegów i życzą im na drogę wszystkiego dobrego. Nie ma tu patriotyzmu na pokaz. Nikt tu nie improwizuje przy pomocy palców znaku V, jako znaku zwycięstwa. Z obrazu filmowego przemawia jedynie niepożyta wola człowieka: nie można jej dostrzec, wyczuwa się ją jednak doskonale.

...Zaczynam rozumieć to, co mi mówiono i w co nie chciałem wierzyć — że, mianowicie, człowiek musi przejść przynajmniej sześciomiesięczną zaprawę w dżungli zanim zdobędzie w tym środowisku jakąkolwiek wartość jako żołnierz. Zaczynam pojmować, jakie niemal nadludzkie zadanie ma do spełnienia żołnierz na tym »zapomnianym froncie...«

Żywe turzątko łapano i obchodzono z nim chaty i dwory. Potem żywego »turońka« zastąpił przebrany parobek, który tańczył cudacznie, wyśpiewywał, ryczał i różne figle wyprawiał.

W okolicach Krakowa chodzono z kozą, za którą się przebierał jakiś chłopak, kładąc kożuch wełną do góry, przyprawiając sobie rogi i ogon. Koza zachowywała się mniej więcej jak turoń: skakała, tańczyła, donośnie wołała o jedzenie, kłapała pyskiem. Oprócz kozy, chodziła tam jeszcze bardzo dziwna figura: Z a p u s t. Był to parobek, ustrojony w kożuch z wełną nawierzch, w wielkiej tekturowej czapie na głowie. Czapa owa przybrana była choiną, wstęgami barwnymi, papierami i świecidełkami. Towarzyszyło Zapustowi kilku dziadków, również poprzebieranych parobków. Dźwigali oni kosz na dary, których im nigdzie nie skąpiono.

W ostatnie dni zapust w niektórych wsiach Kujaw, Mazowsza i Podlasia wożono struganego z drzewa k u r k a i wygłaszano długie, wesołe przemówienia, za co gospodynie dawały ser, masło, jajka, kiełbasę. Parobcy dokupowali do tego wódkę i we wtorek zapustny zaczynała się uczta, która trwała do północy.

Punktem kulminacyjnym wszelkich zabaw bywał zawsze ostatni wtorek, kiedy to za dawnych czasów w dworach szlacheckich wnoszono o północy pierwszą postną wieczerzę (tzw. p o d k u r e k), poprzedzaną żartobliwym kazaniem.

Później tradycja kazań z dworów szlacheckich przeszła do chat, w formie oracji, wygłaszanych przez kolędników w każdej odwiedzanej chacie.

W powiecie inowrocławskim był zwyczaj »zabijania grajka« o północy na granicy karnawału i postu. Wywożono na taczkach przygrywającego grajka na jakąś miedzę za wsią i tam odprawiano dziwaczny ceremoniał. Rzucano w nieszczęśliwego grajka garnek z popiołem i jednocześnie puszczano kota, który, przerażony hałasem, umykał co siły.

(Dokończenie nastąpi)

Czytelnicy piszą

POD ZNAKIEM WIERSZY

Nie wiemy, czy nasi Czytelnicy chętnie czytają wiersze, wiemy natomiast, że je lubią pisać: najlepszym tego dowodem nasza teczka redakcyjna p. n. »Poezja«, która »puchnie« ostatnio w zastraszający sposób. Poniżej podajemy jeden wiersz i kilka urywków z wierszy naszych żołnierzy w Szwajcarii. Wdzięczni będziemy Czytelnikom »Gońca« za krótkie przynajmniej odpowiedzi na pytanie: Czy i jakie lubią czytać wiersze?

REDAKCJA

Dwie ojczyzny

Poranna musztra. Mokry śnieg.
Nabrzmiałe od wilgoci drzewa.
Zbiórka, przysiady, padnij, bieg...
Przerwany sen w nas ziewa.

Rozejść się! Zbiórka! Marsz i »Lotnik«!
I w czwórkach zbiórka. Odtrąbiono.
Kompania śpiewa. Pieśń stokrotni
moc, butem w śnieg rzucona.

I kiedy biegam, padam, klękam —
z firanek okna, z białej ściany
uśmiecha do nas się panienka,
owoc podwójnie zakazany.

Uśmiecha do nas się swawolnie,
nie wiedząc w chwili onej,
żeśmy nasiona kwiatów polnych
wiatrem przez świat niesione.

Uśmiecha do nas się, i marzy
marzeniem złud dziecinnych,
a my — przez zarys jasnej twarzy —
widzimy twarze innych.

Krok nasz już dzwonił po zakrętach
Bressuire, Belfort i Colombey —
wszędzie są okna — w nich dziewczęta —
w ich twarzach uśmiech, tak jak w twej.

Prąd się nie wstrzyma, co nas miecie,
dla ciebie. Nie miej złudzeń.
Bo dwie ojczyzny znam na świecie —
tę własną i te cudze.

(z. e.)

Tułaczy chleb

Ej, tułaczka chleb to twardy,
tak jak kamień lub żelazo!

(k. fr.)

Córce Alicji

Widzę Twe oczka, Lilusiu kochana,
hen tam, pod lasem, łzami zalane.
Słyszę Twój głosik, co jak ptaszek nucił,
gdy mi mówiłaś: Tatuś nie powróci...

O nie, Córeczko, tak się stać nie może —
chociaż nas dzielą góry, rzeki, morza —
powrócić muszę, gdzie twe serce bije,
tam, gdzie jest dom mój i gdzie skarb mój żyje.

(L. S.)

Kaplica w Solurze

Stanęła w Solurze kaplica,
Reytan z jej ściany spoziera
i głosi wszem w okolicy
temu sławę, co umie umierać.

We wnętrzu króluje Madonna,
co w Ostrej nam Bramie świeci —
Patronka jest Ona obronna
żołnierza polskiego w Helwecji.

(Ruthen)

WACŁAW SIEROSZEWSKI

Spotkanie

Już minęła krótka, sybirska wiosna 1888 roku. Umilkła w podniebiu gędźba przelotnego ptactwa, rojnie mknącego na północ; przycichł szmer niezliczonych strumieni tającego śniegu, ustał huk lodów, pękających na rzece Lenie.

Oswobodzona z białego, kryształowego pancerza rzeka wartko płynęła w wysokich brzegach, groźnie pomrukując. Rozlewała się ona tutaj szeroko, gdyż od wschodu wpadała do niej spora rzeka Kirenga, tworząc w widłach dużą, płaską wyspę. Była ona cała zabudowana szarymi, drewnianymi domami miasteczka, nad którymi unosiły się właśnie liczne, siwe dymy wczesnego poranka. Ze wszystkich kominów kurzyło się, gdyż wszędzie już sporządzano spóźnione śniadanie albo już zaczynano gotować obiad.

Na jednym z ganeczków ulicy Nadbrzeżnej stał wysmukły młody człowiek w ciemnej bluzie, w długich butach, w sybiryjskiej czapce na głowie i bystro wpatrywał się szarymi oczami w fale rzeki, mknące w dal i łuszczące się złoto w promieniach słońca.

Dzień zapowiadał się pogodnie. Blade niebo północne, skażone w paru tylko miejscach białymi chmurkami, unosiło się wysoko nad dolinami i spadało ciepłym, łagodnym wnękiem błękitu na odległe, lesiste brzegi.

Ostry wzrok młodzieńca doskonale rozróżniał w strzępiastej koronce tych borów zwarte, ale jeszcze przejrzyste bladozielone postacie modrzewi, ledwie pokrywające się świeżym igliwiem. Wśród nich ciemniały korony sosen o miedzianych pniach, rosnących zwartymi skupiskami i wojujących ze wszystkimi wokoło drzewami o słońce. Na urwiskach rozpinały się potężne, rosochate cedry, a z oddali wyglądały ostre wieżyce czarnych prawie świerków. Srebrne błyskawice brzóz przecinały tu i ówdzie zwartą ścianę drzew iglastych.

Wyrosły wśród borów litewskich młodzieniec lubił te drzewa i tęsknił za nimi na bezleśnej wyspie swego wygnania. Nozdrza jego z rozkoszą wciągały smoliste zapachy, jakie przynosił ze sobą ciepły wietrzyk. Nagle spojrzał wzdłuż pustej ulicy ku większemu budynkowi z zielonymi okiennicami, na którego froncie widniał napis «Policejskoje Okrużnoje Uprawlenje» (Okręgowy Zarząd Policyjny), machnął zlekka ręką, zawrócił na pięcie i wszedł przez niedomknięte drzwi do mieszkania. Gdy po chwili ukazał się stamtąd, miał na sobie kusawe paletko, spod którego poły wyglądała nieostrożnie kolba ukrytej dubeltówki. Znowu rzucił okiem w stronę budynku policji i zbiegł szybko po schodach ganeczku na ulicę. Maszerował, nie oglądając się już, na drugi koniec ulicy, gdzie tuż nad rzeką przycupnęła uboga chałupa; na płaskim jej dachu na skrzyżowanych drągach suszyły się sieci. Młodzieniec energicznie zapukał do okna.

— Jegor, dawaj wiosła! — zawołał głośno.

Małe okienko otworzyło się i wyjrzała siwa, brodata głowa.

— A, to wy, Josif Josifowicz... Znowu chcecie jechać?... Żeby was aby nie złapali, bo to i mnie wtedy »wleci!«

— Co ma wlecieć!? Nic nie wleci — roześmiał się młodzieniec. — Gdzie są wiosła?

— W sionce, jak zawsze! A tylko... wy je sami weźcie, że niby ja nic nie wiem... Pamiętajcie: w razie czego ja nic nie wiem, wy sami... Już w tych dniach przychodził nadzorca i nakazywał, żeby wam, »politycznym przestępcom«, łodzi nie pożyczać... Groził »sztrafem« (karą)...

— Dobrze już, dobrze!

— A którą łódź weźmiecie?

— Tę najmniejszą!

— Ech niedobrze, widzi mi się — niedobrze!... Wrócicie pewnikiem dopiero wieczorem, a przez dzień pogoda może się popsuć, jeszcze wicher uderzy... Nie przepłyniecie Leny w takiej »duszegubce«. Rzeka rozlała, jak morze... Weźcie »karbas«, ja nie będę go potrzebował, aż jutro... Dobrze radzę!

— Kiedy ciężko będzie przeciw prądowi!

— Ach, młodziaki, młodziaki!... Wam zawsze w głowie --- byle lżej... Bierz, jak chcesz, Josif Josifowicz, ja ci nie żałuje... Tyś dobry chłop.

Wygnaniec roześmiał się, wpadł do sionki i wrócił po chwili z długim, jednopłatkowym wiosłem, jakiego tubylcy używają na Lenie do pędzenia swych leciuchnych pirog. Odczepił kołyszące się zgrabne czółenko, wydłubane z jednego pnia, w dziobie postawił dubeltówkę, sam usadowił się po środku i ode-

ŚWIAT W OGNIU

(Za czas od 21 I do 20 II)

Front wschodni. Dużo się tu zmieniło od naszego ostatniego przeglądu. Przede wszystkim wymienić należy zakończenie bitwy pod Stalingradem, które nastąpiło w dniu 2 lutego. Odcięta tam niemiecka 6 armia (która ongiś zdobywała Warszawę), licząca początkowo do 330,000 ludzi, została całkowicie rozgromiona po zaciętej walce, trwającej od 10 stycznia. Żywcem wpadło do niewoli sowieckiej tylko 91,000 Niemców i Rumunów — w tym 24 generałów na czele z dowódcą armii, marszałkiem polnym Paulusem. Wśród ogromnej zdobyczy wymienili Rosjanie 750 samolotów, 1500 czołgów, 6700 dział, 61,000 samochodów, 7300 motocykli, 5700 spadochronów, 230 składów amunicji i materiału itd.

Po tak ciężkiej klęsce zarządzono w Niemczech 3-dniową żałobę, tłumacząc zarazem, że walka do ostatniego pod Stalingradem była niezbędna dla opóźnienia wroga i przygotowania skutecznej obrony dalej w tyle. Jednak te rachuby niemieckiego dowództwa najwidoczniej zawiodły, gdyż armie sowieckie prą naprzód wolno, ale ciągle. Niemcy utracili już prawie całą połać kraju między Donem a Kaukazem, gdzie pozostaje wprawdzie jeszcze ok. 150,000 ich żołnierza, ale armia ta przyparta do morza u półwyspu Tamań (naprzeciw Krymu) małe ma widoki na wydostanie się z matni. Dalej na północy walki przeniosły się kolejno z nad Wołgi na Don, a z niego na Doniec, który już również został sforsowany na całej długości. Dnia 8 II padł ważny węzeł drogowy Kursk (200 km na zach. od Woroneża), a 14 II odbili Rosjanie wielkie miasto Rostów u ujścia Donu. Jeszcze ważniejsze zwycięstwo odnieśli

pchnął od brzegu. Nurt porwał czółenko i poniósł je po wyzłoconej słońcem fali.

Wygnaniec z początku chował i odwracał twarz, by go nie poznano z brzegu, i dopiero, gdy znalazł się pośrodku rzeki, położył wiosło, zdjął czapkę, spojrzał wesoło w dal, gdzie w błękitnej toni widnokręgu ginęła połyskliwa, srebrna wstęga wody, i głośno zaśpiewał:

Wiatr wionął szumnie po pustym stepie
I śnieżną zamieć w obłoki wzbił...

Pieśń leciała ponad szemrzącą wodą i ginęła na pozór bez echa w głuchym bezmiarze pustkowia. Prąd, cięty na ukos dziobem czółenka, zawracał je ku płaskiej ławicy, gęsto porosłej wysoką, strzelistą łoziną. Poza zielonawą jej ścianą snuł się dym, ledwie znaczący się siwą smugą na ciemnym tle dalekiego urwistego brzegu.

— Kto tam, u licha, może obecnie ogień palić?! Przecież tam nie ma nic prócz łąk i bagniska... Tylko mi kaczki wypłoszyli! — mruknął gniewnie młodzieniec, roztrącając dziobem czółna zalaną powodzią i drgającą pod naporem wiosła łozinę. Czas jakiś przedzierał się przez zarośla, położywszy wiosło wzdłuż łodzi, czepiając się rękami gałęzi i prętów, wreszcie czółenko utknęło dziobem w ilastym gruncie. Wówczas wyskoczył na suchsze miejsce, stateczek za sobą pociągnął i umocował go starannie u grubszego pniaka, po czym ostrożnie przemknął się z fuzją w ręku na krawędź łoźniaka i wyjrzał. Niedaleko, na łysawym pagórku, tlił się ogieniek, nad nim wisiał na podpartym drewnianymi widełkami drążku miedziany, zakopcony czajnik, obok zaś ognia siedział z podwiniętymi nogami barczysty, brodaty starzec w futrzanej czapie syberyjskiej z nausznikami, w rozpiętym na piersiach, obszarpanym półkożuszku, w czerwonej, niezmiernie zabrudzonej, zatłuszczonej koszuli.

— Włóczęga! — pomyślał młody myśliwiec i śmiało wyszedł z zarośli.

Starzec już dawno miał zwrócone ku niemu oczy. Kiedy młody człowiek podszedł, stanął przy ogniu i opuścił dubeltówkę do nogi, nieznajomy długo przypatrywał mu się w milczeniu.

— Zdrastwujtie!... — rzekł wreszcie po rosyjsku. — Siadajcie! Czy to wyście śpiewali?...

— Ja. A co?

Usta staremu zadrgały, a przekrwawione, spło-

NASZE SPRAWY

OCENZUROWANE

oni 16 lutego, zdobywając Charków, dawną stolicę Ukrainy, i rozbijając tam wyborowy niemiecki korpus SS, dopiero co ściągnięty z Francji.

Pomimo swego zaciekłego oporu Niemcy są spychani dalej w kierunku dolnego Dniepru, a ich siły nad morzem Azowskim, już oskrzydlone od północy, zagrożone są odcięciem. W ten sposób wojsko sowieckie po 3 miesiącach swych potężnych i zgranych uderzeń nie tylko odebrało już prawie cały obszar, utracony latem i jesienią ub. r., ale i odbiło pewne ważne punkty, będące w ręku nieprzyjaciela już od końca r. 1940.



Położenie z dnia 18.II.1942.
Front z dnia 19.XI.42. (początek ofensywy sowieckiej)
Front z dnia 18.II.43.
Główne kierunki dalszych natarć.

F r o n t a f r y k a ń s k i przybrał również dość odmienne oblicze. Kampania egipsko-libijska skończyła się bowiem właściwie już w dniu 23 stycznia, kiedy zwycięska 8 armia brytyjska zajęła miasto i port Tripoli. W ten sposób Włochy utraciły ostatnią połać swego imperium kolonialnego, a w rozprawie północno-afrykańskiej rozpoczął się nowy rozdział — walka o francuski protektorat Tunis czyli Tunizję.

Pomimo znacznych strat w sprzęcie i ludziach, jako też wielu utrudnień ze strony dzielnego przeciwnika, udało się Rommelowi nawiązać bezpośrednią styczność z siłami generała von Arnim, tak iż liczebność wojsk osi w Tunisie wzrosła do ok. 250,000. Wprawdzie spora ta armia znalazła się w kleszczach, ale na razie są one jeszcze dość szeroko rozwarte i chwilowo mało groźne — tym bardziej, że siłom Osi udało się ostatnio zyskać na terenie, odrzucając oddziały amerykańskie i zajmując m. Gafsa (180 km na płn. zach. od m. Gabes). Mimo to wydaje się, że zaprawiona w ciężkich bojach 8 armia zdoła wnet przechylić położenie na korzyść Sprzymierzonych.

W i d o w n i a D a l e k i e g o W s c h o d u stoi nadal pod znakiem inicjatywy Sprzymierzonych, którzy wyparli już w znacznej mierze nieprzyjaciela z Nowej Gwinei. Poza tym Japończycy, widząc beznadziejność dalszej walki, wycofali się z wyspy Guadalcanar, na której ponieśli znaczne straty w kilkumiesięcznych krwawych bojach.

S p r a w y p o l i t y c z n e. — Najważniejszym w tej dziedzinie wydarzeniem było spotkanie z końcem stycznia Churchilla i Roosevelta w Casablanca (Marokko), gdzie ustalono wytyczne działań wojennych na rb. Wielkie posunięcia zapowiedziano na najbliższych 9 miesięcy. Niezmordowany Churchill udał się wkrótce potem do Turcji na narady z jej prezydentem, a później odwiedził 8 armię w Trypolisie. Należy też zanotować zmianę rządu we Włoszech, w którym kilka ważnych tek objął Mussolini. Zmieniony został też szef sztabu włoskich sił zbrojnych. *(Ś)*

wiałe chabrowe oczy rozbłysły nagłym ogniem.

— To wyście Polak?... A skąd wy? Czy może jedziecie do »złotych rozsypisk?« Czy też wy z Kiereńska... albo jeszcze z dalszych miejsc... — pytał porywczo po rosyjsku.

Młodzieniec nie spuszczał z niego uważnych oczu.

— Pan też, widzę, Polak — rzekł nagle po polsku.

Zmarszczki twarzy starego rozpłynęły się nagle w jasnym uśmiechu.

— Skąd pan wie? Tak: ja Polak! Ten śpiew my też dawniej śpiewali, razem na etapach. »Jednako« teraz ja zapomniał trochę mówić po naszemu... Wkoło same »rusaki«... Dawniej, jak miał czas, to ja zachodził do miasta, do swojaków, »pobałakać po rodnemu«. Jednako teraz wszyscy się rozjechali, nie ma do kogo iść. A i nie puszczają!... Powiadają, że nowych poprzywozili, jakichś srogich »rusaków«, co cara zabili... Nie pozwalają na znajomość z nimi... więc siedzę w głuchym siole... — silił się mówić po polsku, lecz się plątał, wracał do rosyjskiego i to smutniał, to się znowu uśmiechał.

— Siadajcie, gościem będziecie! Herbata zaraz »pospieje«! --- zwrócił się grzecznie do młodego człowieka.

— Wy tu już dawno, widzę, jesteście! A co tu robicie? --- spytał ten, dziękując za zaproszenie kiwnięciem głowy i przysiadając do ogniska.

— Co ja robię? --- roześmiał się stary. --- Służę za parobka u tego zdzierusa Elepcowa... Przysłał mię tutaj na całą noc, na łąkę, zeszłoroczną trawę spalić, żeby nowa lepiej rosła... A żyję tutaj dawno... chyba od 70-tego roku, bez mała dwadzieścia lat. Zaraz policzę: schwytali mnie w 63-im. Rok siedział ja w Zamościu w kazamatach, potem nas zesłali.,. Rok czasu my byli w drodze... Bo nas jeszcze gnali po staremu, na piechotę, z tłumokami na plecach... Do żelaznego drąga to już nas nie przykuwali, jak przedtem, ale szli my całą drogę w łańcuchach na rękach i nogach, mróz nie mróz, deszcz, śnieg, zamieć czy spiekota, wszystko równo... Od zimnego żelaza to niektórym takie rany na rękach i nogach się porobiły, że ślad został na całe życie... Niech pan patrzy.—

Tu wyciągnął ponad ogniem żylastą, spracowaną rękę z białą szeroką blizną na kiści.

— Szczególnie nad tymi się znęcali, co byli z chłopów, z mieszczan, z rzemieślników, a szlachcie folgowali, żeby nas kłócić, ale my dzielili niewolę po bratersku. Pieniądze składali do kupy i na furmankach co były dla panów, jeździł kto był słabszy. Od »rusaków« porównanie przyszło dopiero na katordze... Tam czy pan, czy cham rudę kopał --- tak samo wszy go jadły i bił go kańczugiem nadzorca --- gadał poważnie starzec.

— To byliście w katordze?... — przerwał mu gość.

— A byłem, sześć lat... »w Akatujskim ołowiano-srebrnym rudniku«. Ciężko tam było... Zęby ciągiem »boleli« i »ruszali« się w gębie, jak klawisze...

— To wszystko za powstanie 63 roku? — pytał, chmurząc się, młody gość.

— Juści za powstanie! A bo co?

— Przecież kilka już lat temu, jak powstańcom dano amnestię, wszyscy są wolni, chodzą i jeżdżą, gdzie chcą. Wielu wróciło do kraju, a pan powiada, że pana tu pilnują, nawet do miasta nie puszczają!

Starzec nagle posmutniał.

— Widzi pan — odrzekł cicho — to tak się stało, że mnie na śledztwie zaliczyli do »wieszateli«... A dla tych nie ma pono przebaczenia. Tymczasem ja nikogo nie wieszał, ja tylko miał rozkaz pilnować, żeby spełniano rozporządzenia Rządu Narodowego... I to ja robił... Z każdej partii wybrali takich, co młodszych i wierniejszych, i formowali z nich polskich żandarmów... Mnie zapisali i ja się zgodził. To ja się do tego na śledztwie przyznał, a »ruski« zaraz ze mnie zrobili »wieszatiela«... co wcale nieprawda, bo mnie Bóg strzegł i na szpiega ja nie trafił... Teraz tu siedzę bez winy! I pewnie tu zginę i kraju swego nigdy nie zobaczę... Chyba, żeby Polska powstała... Ale tego nie będzie! Polska nigdy nie powstanie. Zbyt dużo tych Moskalów i Niemców na nią nasiadło.

— A może powstanie! Wyście źle zaczynali: od miasta i od dwora, trzeba było zacząć od chłopów i robotników, podnieść cały naród! — żywo zawołał gość.

— Nic z tego! Chłopi poszli za »ruskim«. Przecież mnie chłopi »chycili« i związanego oddali.

— Teraz będzie inaczej! Teraz i chłopi zmądrzeli. Teraz wszyscy powstaną, jak przyjdzie wojna albo rewolucja... Zobaczycie! — przerwał gwałtownie gość.

Starzec umilkł, spuścił głowę, po czym wpatrzył się długo i uważnie w młodzieńca:

— A kto wy tacy, co tak mówić śmiecie? — zapytał po chwili.

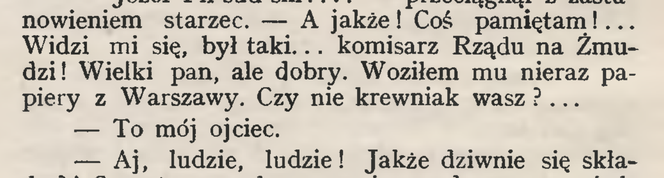
— Jestem Józef Piłsudski, zesłaniec jak i wy... — odrzekł młodzieniec, podnosząc głowę i mierząc starca twardym, ale życzliwym spojrzeniem.

— Józef Pił-sud-ski!... — przeciągnął z zastanowieniem starzec. — A jakże! Coś pamiętam!... Widzi mi się, był taki... komisarz Rządu na Żmudzi! Wielki pan, ale dobry. Woziłem mu nieraz papiery z Warszawy. Czy nie krewniak wasz?...

— To mój ojciec.

— Aj, ludzie, ludzie! Jakże dziwnie się składa?! Czy to prawda, czy nieprawda, że przy jednym teraz siedzimy ognisku: syn tego wielkiego pana i ja... bity rózgami, bezdomny włóczęga! Ha, to może i będzie Polska, jak takie rzeczy się dzieją. Nie wyginął, widzę, duch w Polakach! A więc powiadajcie, jak to tam jest i jak będzie z tym narodem. Wszystko gadajcie, miły mój, bo ja tak bardzo łaknę tych wieści. I ja myślał, że nawet po polsku to już nikt do mnie nie zagada do samej śmierci, że tak umrę z cudzą mową w uszach i wieczną w sercu tęsknotą... A tu masz: taka nagle okazja! Przysiądźcie bliżej, bo ja na lewe ucho głuchawy. Kolbą mnie ongiś «sołdat« zdzielił...

Przysiedli bliżej do siebie, uścisnęli się raz jeszcze za ręce i, popijając gorącą herbatę z drewnianych podróżnych miseczek, wszczęli rozmowę o Polsce...



OCENZUROWANE

Z ŻYCIA OBOZÓW

BÜREN. — 18. I. Udaję się do szpitala w Büren, aby zobaczyć to, czego u nas jeszcze nie było. Jest to nowy teatr, tym jak i poprzednimi razy wędrowny, ale role grają w nim, i to wybornie, nie ludzie, ale łątki, inaczej kukły albo kukiełki. Czyli — jest to teatr marionetek.

Wyobraźcie sobie scenkę może 2 m szeroką i około 1,20 wysoką, na której zjawiają się zręczną ręką spod podłogi prowadzone małe lalki. Mówią zamiast nich osoby stojące za sceną, ale uwaga widza tak jest przykuta do figur na scenie, że zdaje się, jakby to one same nie tylko działały, ale i mówiły, i że są to osoby podobnie jak my dorosłe. Oczywiście, aby to złudzenie utrzymać, muszą być rozmiary sceny dostosowane do wielkości łątek, a one same muszą być nie tylko do żywych ludzi podobne, ale muszą też poruszać się zgodnie z mówionym za sceną słowem lub w takt muzyki, kiedy ta przygrywa.

Same łątki są świetnie udane i przedstawiają osoby dobrze każdemu znane. Całe bowiem przedstawienie wyobraża w 3 odsłonach nasze »Jasełka« ze wszystkimi zwyczajowymi osobami, a nawet zwierzętami. Bartosz, szlachcic, śmierć, Herod, żołnierz (internowany), wół i diabeł należą do najbardziej udanych postaci. Z dekoracji najbardziej uderza wspaniała sala królewska Heroda, choć wszystko jest w niej wykonane bardzo skromnymi środkami (Kiedy Herod przemawia, brzmi w uszach coś tak znajomego, jakby się ktoś z niedaleka odezwał). Zato scena ostatnia, szopka, w postaciach św. Józefa i Marii Panny zawiera wpływy trochę obce, jakby ze wschodniego wzięte kościoła.

Bardzo muzykalną jest orkiestra w osobie grającego za sceną na ręcznej harmonii internowanego. Kiedy sztuka się kończy, występują na scenie jeszcze 2 łątki, przedstawiające internowanych żołnierzy DSP, którzy wykonują dowcipne przyśpiewy o różnych naszych sprawach.

Przedstawienie kończy się i cały teatr pakuje się... do kilku zawiniątek, a z za sceny występują prawdziwi, żywi wykonawcy. Oko przywykłe do widoku małych kukiełek ze zdumieniem spogląda na tych olbrzymów. A jednak poznacie w nich zapewne swoich dobrych znajomych. Jesteście im szczerze wdzięczni. Taka miła zabawa i tyle w niej dowcipu i sztuki! *(X)*

GRANGES. — Zasypało nas śniegiem. Mogłoby się zdawać, że zapadniemy w sen zimowy. Otóż nie, bo p r a c u j e m y. Rozbijamy wykarczowane latem pnie drzewa, rąbiemy je, oczyszczamy ze śniegu teren obozu itd. Ponadto pracujemy nad tym, aby się rozerwać i zabawić. Mieliśmy już 3 wieczory humoru. I to na własnej, wspaniałej scenie z bocznymi kulisami, nienajgorszymi dekoracjami i reflektorami. Byliśmy z tego wszystkiego ogromnie dumni — aż do dnia, w którym zawitała do nas p. Halina Kenar z szopką. Wtedy zatkało nas. Dosłownie.

Co tu dużo mówić — jesteśmy ludzie prości i nie nam dyskutować o sztuce. Ale właśnie dlatego ta rapperswilska szopka przemówiła nam do serca i wzięła nas w swe posiadanie.

Jak mamy podziękować organizatorom za tę ucztę, którą nam ofiarowali?

Wydaje się, że tylko nasze staropolskie »Bóg zapłać« może wyrazić nasze uczucia wdzięczności dla organizatorów i artystów szopki. A więc — Bóg zapłać! *(k. w.)*

CUDREFIN. — W cichej, obszernej dolinie, tuż nad jeziorem Neuchâtel, stoją 4 drewniane budyneczki, w których mieszka ok. 140 żołnierzy, dawnych »obywateli« Büren. Przybyli oni tutaj przed 4 miesiącami.

Codziennie o godz. 7 rano we wsi spowitej w szarą mgłę rozlega się klekot setki drewniaków, uderzających miarowo o twardą nawierzchnię ulic. To wojsko polskie idzie do pracy do pobliskiego lasu, skąd po pew-

PODZWONNE

— ROWDO Józef, kan. 10 baterii ppanc., ur. 1 X 1905 w Krucy, pow. Postawy, zmarł w szpitalu Waldau w Bernie 6 XII 1942. Pochowany na cmentarzu Bremgarten 9 XII 42.

— BARAN Józef Tad., kapr. 2 pal., ur. 29 VIII 1914 w Zawadzie Pol., zmarł 30 XII 1942 w Leysin.

— BLONDER Hersz, strz. 5. M. psp., ur. w r. 1910 w Czortkowie, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi 10 I. 1943 i zmarł w szpitalu w Glarus Pogrzeb nastąpił 13 I. 43 na cmentarzu izraelickim w Zurychu.

— OKUPSKI Franciszek, padł 19 stycznia br. ofiarą tragicznego wypadku w kopalni węgla w Chandoline (koło Sionu). Ur. w 1903 r. w Perłowie; kanonier II pułku artylerii lekkiej; przed wojną przebywał we Francji. Pogrzeb odbył się na cmentarzu w Sionie 21 I. 43.

NASZE GAWĘDY



Jak się zachować w Afryce... i gdzie indziej

Każdy żołnierz amerykański otrzymał przed wylądowaniem w północnej Afryce pewną ciekawą książeczkę. Oprócz ogólnych wiadomości o tej obcej ziemi i jej mieszkańcach są tam zestawione szczegółowe wskazówki co do zachowania się wobec ludności tubylczej, gdyż od poprawnych z nią stosunków może w dużym stopniu zależeć nawet bieg kampanii.

Szczególny nacisk kładzie ten przydatny podręcznik na odnoszenie się do kobiet arabskich, do których obcemu nie wolno się odzywać pod żadnym pozorem. »Najniewinniejsze nawet słowo, skierowane do muzułmanki, uważane jest za obrazę i wywołuje u wszystkich mahometańskich mężczyzn żywe oburzenie«. Dalej podaje książeczka wiele dobrych rad na inne okoliczności. »Nigdy nie wchodź do meczetu. Nigdy nie pal tytoniu ani nie pluj przed meczetem... Rozmawiaj z muzułmanami o czymkolwiek, tylko nie o kobietach ani o religii. Ściskaj Arabom dłoń, ale poza tym nie dotykaj ich i nigdy nie klep ich po plecach... Jedz prawą ręką, nigdy zaś lewą — nawet gdybyś miał być mańkutem... Pij alkohol gdzie chcesz, ale nigdy przed oczyma mahometan... Stosuj się do obyczajów twego gospodarza; jeśli on przy wchodzeniu do domu zdejmie swe obuwie, ty czyń to samo...«

Wszyscy zapewne znamy nasze stare przysłowie, nakazujące, że »jeśli przyjdziesz między wrony, musisz krakać jak i ony«. Jednakże pomimo że Helwecja jest znacznie mniej egzotyczna od Algieru i że sporo już czasu upłynęło od naszego tutaj »wylądowania« — jeszcze nie od rzeczy byłoby może wydać taki nieduży podręcznik dostosowania się do miejscowych zwyczajów. Bo chociaż prawie każdy z nas dużo już przewędrował obcych dróg, ciągle jeszcze wleczemy z sobą różne swoiste cechy i nałogi, po których nawet bez munduru możnaby nas poznać — niekoniecznie z tej lepszej strony.

Często zresztą, aby rozpoznać, nie potrzeba nas wcale zobaczyć. Wystarczy ... usłyszeć z oddali. Tak,

nym czasie dochodzi łoskot siekier i kilofów, zgrzyt pił i warkot samochodów ciężarowych, wiozących drzewo-owoc żmudnej pracy polskiego internowanego — do pobliskiej stacji. W taki sposób w ciągu niespełna 4 miesięcy ok. 12 ha lasu w pobliżu wioski Cudrefin znikło z powierzchni ziemi.

Nad wieczorem życie w lesie cichnie, płynie zato żywszym tętnem na wsi. Świetlica i szkoła — oto przybytki, w których wieczorne godziny spędzają przeważnie nasi »rębacze«. W świetlicy — rozrywka, w szkole — kursy dokształcające i lekcje języka francuskiego.

W niedziele i święta w całej wiosce rozbrzmiewa polska piosenka żołnierska, świadcząca dobitnie o naszym duchu i woli wytrwania.

(l. s.)

WETZIKON. — Zaczęło się, jak zwykle w wojsku, od strugania kartofli. Kartofle były dorodne i duże, jak granaty ppanc. Ktoś rzucił pytanie:

— Ciekawe, czy i w tym roku będziemy sadzić kartofle?

Pesymiści z ponurą miną kiwali głowami, co miało prawdopodobnie oznaczać, że w ogóle szkoda marzyć... Optymiści gorąco zaprzeczyli:

— Jakto, teraz? Wobec takiej sytuacji? Zobaczycie, że niebawem dostaniemy nowe mundury i...

— ... łopaty oraz pójdziemy sadzić, jak w ubiegłym roku, ziemniaki... — dokończyła opozycja pesymistów.

Zapanowało ciężkie milczenie. Tak, to było rok temu. Miało się właśnie ku wiośnie. Pogoda była kapryśna, jak nasz los. Pewnego dnia komendant obozu zapowiedział na nadzwyczajnej zbiórce prace rolne. Wkrótce po tym zdumieni mieszkańcy Wetzikonu przez kilkadziesiąt dni oglądali dwustu młodych ludzi w niebieskich drelichach, którzy ze śpiewem i kilofami na ramieniu maszerowali za miasto.

Teren, który otrzymaliśmy pod uprawę, składał się z kilku działek, rozrzuconych na wyschłym bagnie. Starzy Szwajcarzy patrzyli z niedowierzaniem na naszą pracę. A była ona ciężka. Czarna, ciężka ziemia poprzerastana trzcinami i korzeniami niełatwo dawała się uprawiać. Zawzięliśmy się jednak i dopięli swego. Wszystkie działki zostały uprawione i kartofle zasadzone.

Minęła wiosna i nadeszło lato. Spędzaliśmy je na budowie drogi »gdzieś« w Graubünden. A nasze kartofle rosły. Czasem jakiś list z Wetzikonu donosił, że obrodziły wspaniale. To też zdziwiliśmy się niepomiernie, gdy na jesieni, po powrocie, zmniejszeni o połowę ubytkiem »dojrzalców«, zabrawszy się do kopania naszych ziemniaczanych »plantacyj«, stwierdziliśmy osobiście, że na prawdę plon naszej pracy jest obfity. Twierdzenie, że internowani mają »szczęśliwą« rękę sprawdziło się i tym razem. Zebraliśmy prawie 10 tonn ziemniaków z 60 arów nieużytkow!

Ale to było w ubiegłym roku. Dzisiaj, choć grozi nam nowa uprawa pól ziemniaczanych, pogodniej patrzymy w przyszłość. I wierzymy — tym razem wraz z największymi pesymistami — że już niebawem staniemy do pracy na własnym zagonie. *(zb. mal.)*

Na trzydniowym urlopie



— Jak myślisz, Emil, możebyśmy tak trochę prądu zaoszczędzili?...

ÜBERTHAL b/Mönthal. — Już mija sporo czasu, jak po 20 miesiącach pobytu w Thalheim, pluton nasz, składający się z żołnierzy 202 PAC'u, przeniesiony został do obozu Überthal. Jest to »duża« wioska, bo licząca aż 5 domów mieszkalnych, położonych przy tym między górami, zasłaniającymi wszystko, co godne widzenia. Po rozlokowaniu się w zupełnie ładnym i wygodnym baraku, rozpoczęliśmy wyznaczoną nam pracę — budowanie muru wzdłuż drogi, mającego zabezpieczyć tę drogę przed obsypującymi się lawinami kamieni. W obozie naszym zorganizowano kurs szkoły powszechnej, na który z ogólnego stanu 37 żołnierzy uczęszcza 10.

(Kronikarz obozu)

THALHEIM. — Po tradycyjnej wspólnej wigilii żołnierskiej mieliśmy pierwszy występ naszego teatrzyku, zorganizowanego przez ppor. S. Odegrano dwie komedyjki, w których szczególnie popisały się bardzo przystojne »własnej produkcji« kobiety (zwłaszcza kpr. R.). Również nasz poczciwy »Kopytko« zapomniał, że w dnie powszednie męczy się nad zelówkami i świetnie dawał sobie radę w roli sędziego, jąkając się od czasu do czasu z wdziękiem. Na zakończenie uroczystości wigilijnej (urozmaiconej m. in. św. Mikolajem — kpr. J.) rozdano prezenty, otrzymane od miejscowej ludności, która okazała nam w okresie dwuletniego już tutaj pobytu dużo życzliwości. ***(biel)***

---

jesteśmy bowiem zbyt głośni w naszych rozmowach— szczególnie gdy rozgrzeje nas dyskusja albo coś mocniejszego od jabłecznika. Wynika to z naszego żywszego usposobienia i może nawet mieć swój wdzięk, kiedy jesteśmy u siebie, w naszym kraju. Natomiast na obczyźnie zwracamy w ten sposób na siebie niepotrzebną uwagę, wywołując poza tym wrażenie, że się ciągle kłócimy albo że stale jesteśmy wstawieni. Jeśli zaś rzecz dzieje się w lokalu publicznym, inni goście słusznie mogą mieć nam za złe, że nasza szeroka natura przeszkadza im w ich rozmowie, czytaniu lub odpoczynku. A więc, mości panowie, mniej podnośmy głos i tłumik nakładajmy tym, którzy są zbyt stepowo donośni. Inaczej bowiem utrwalimy o sobie wśród obcych taką samą opinię, jaką miał u nas w kraju pewien hałaśliwy odłam naszej ludności...

Innym rodzajem bezpłatnego przedstawienia, jakie niektórzy z nas lubią z siebie dawać (i to nawet na trzeźwo) jest publiczne potrójne wycałowywanie się z kolegami. Owszem, rzucić się na szyję serdecznemu druhowi, idącemu gdzieś w świat daleki lub na wojnę, czy też wracającemu po latach rozłąki — to odruch ludzki, a nawet miły. Pocóż jednak czynić to po dworcach i ulicach nagminnie i przy lada sposobności? Śmieszne to, a zupełnie zbyteczne.

Wielce wśród nas nadużywane jest również ustawiczne ściskanie sobie ręki, powtarzane nawet przy spotykaniu się po kilka razy na dzień. Co jest zbyt częste, traci swoją cenę, a szlachetny i męski ten gest staje się pustą formalnością i zdawkową monetą. Przecież każdy, kto tylko szczerze sobie na to odpowie, musi przyznać, jak kłopotliwym i niepotrzebnym jest ten zwyczaj w warunkach zbiorowego życia w obozie a zwłaszcza w jednym hotelu lub gospodzie—kiedy sam wojskowy ukłon najzupełniej by na codzień wystarczył, nie szkodząc ani koleżeństwu ani karności.

Już Szwajcarzy znacznie są od nas oszczędniejsi w stosowaniu tego »ręcznego« powitania, a np. Anglicy — którzy przecież w pojęciu »gentleman« stworzyli wzór męskiego zachowania się we wszelkich życiowych okolicznościach — podają sobie rękę tylko przy żegnaniu się na czas dłuższy lub na powitanie po najmniej kilkudniowym niewidzeniu. Zamiast trwać przy przedawnionych drobnomieszczańskich manierach, czyż nie lepiej brać od obcych to, co dzisiaj jest niewątpliwie odpowiedniejsze?

Jeszcze jedna ważna sprawa, która koniecznie musiała by się znaleść w podręczniku Polaka zagranicą, to »zagraniczna« pisownia imion i nazwisk.

LORDEL. — Obóz nasz został zorganizowany jeszcze w październiku ub. r. Jest tu zgrupowana przeważnie artyleria, a wśród niej wybija się sławna grupa drenarska z por. B. Obóz liczy ponad 200 ludzi. Baraki umieszczone są na wysokości 910 m. Do pracy wyruszamy o 8 rano; robota trwa do godz. 17. Poza tym zorganizowano kursy wyższe i niższe w zakresie szkoły powszechnej oraz inne w zakresie ogólnym. Istnieje też, dobrze zagospodarowana, spółdzielnia żołnierska.

(bomb. w. g.)

DÜRRENROTH. — Na uroczystość wigilijną 1942 przybyli prawie wszyscy żołnierze należący do rejonu Dürrenroth, a pracujący »u bambrów« w okolicznych wioskach. Po zajęciu miejsc w pięknie udekorowanej sali, odczytaniu rozkazów i przemówieniu oficera odpowiedzialnego naszego okręgu, por. J., podzielono się opłatkiem oraz zorganizowano zbiorkę na rzecz naszych jeńców w Niemczech (zebrano fr. 41.—). O godz. 11 wiecz., po uroczystości wigilijnej, wyruszono w ilości 75 osób na pasterkę do Huttwilu, gdzie na życzenie miejscowego księdza odśpiewano kilka polskich kolęd.

(st. strz. z cenz. n. r.)

ENNETMOOS. — 27/III 1942 po licznych alarmach nadeszła wiadomość (czytaj: rozkaz), że obóz Gossau (kt. Zürich) ma być zlikwidowany i przeniesiony do Ennetmoos. W 3 dni później 132 żołnierzy wysiadło ze statku w Stansstad, skąd po dość uciążliwym marszu dotarło do Ennetmoos. Z punktu widzenia turystycznego okolica jest piękna: w około mamy tylko góry i jeziora. Nie przyjechaliśmy tu jednak jako turyści, lecz jako »robotniki«, to też już nazajutrz kompania nasza została podzielona na »ekipy« i, uzbrojona w łopaty, wyruszyła do pracy. Chodziło o meliorację. Wyniki naszej pracy były tak dalece imponujące, że pisała o nich prasa szwajcarska. W lecie przydzielano nas również do innych robót: jedni szykowali w lesie opał na zimę, inni budowali w górach drogi, jeszcze inni pracowali wreszcie przez pewien okres czasu wraz ze słynną naszą kompanią telegraficzną. Obecnie mamy dwa rodzaje pracy: drenarkę oraz wiązanie przygotowanego na opał drzewa.

To tylko kwestia przyzwyczajenia



Małżonek, który w ciągu 3 lat słyszał ciągle „Verboten!“ — w pierwszą noc po powrocie do domu do własnej żony...

Z nadejściem zimy uruchomiono w obozie szkołę powszechną i kurs motorowy. Mamy też chór, występujący głównie w czasie nabożeństw w niedziele i w święta w miejscowym kościele. Świetlica działa b. dobrze.

Obóz nasz składa się z 9 kompanii 4 WPSP oraz z kilkudziesięciu żołnierzy przybyłych z Wauwilermoos, Giswil, Küssnacht itd.

(w. s.)

SISSACH. — Ostatnie święta Bożego Narodzenia obchodził nasz obóz wspólnie z trzema innymi, należącymi do 5 pp. A więc w dniu 23/XII koledzy z obozu Junkerschloss odwiedzili nasz obóz w Sissach. Tu odbyła się najpierw wspólna kolacja, a następnie uroczystość specjalnie zorganizowana dla nas przez miejscową ludność szwajcarską, przy czym program tej uroczystości uzupełnili nasi żołnierze śpiewem i recytacjami. W dniu 24/XII obóz nasz gościł w obozie Junkerschloss, dokąd przybyły też obozy Olsberg i Wittnau. Tutaj też spożyto wilię.

(j. p.)

FRENKENDORF. — Zbiórka... Wychodzić! Raz, dwa i trzy! Gotowe?

Kierunek Frenkendorf, kompania marsz!.. Tak odmaszerowała 6 kompania 5 M. psp. z Sissach (ze śpiewem »Ułani, ułani, malowane dzieci...«) na nowe miejsce pracy do Frenkendorfu.

Ano, skończyła się praca tu, trzeba rozpocząć nową tam — aż do jakiegoś czasu, kiedy zagrzmi taka sama komenda, lecz kierunek marszu będzie inny.

Z żalem opuściła kompania miejscowość Sissach i przybyła do miejscowości — równie pięknej i bliżej Bazylei położonej — Frenkendorf, gdzie rozlokowała się w sali restauracyjnej budynku, położonego na wzgórzu, skąd roztacza się wspaniały widok na całą kotlinę miasteczka Liestal. Chłopcy raźno wzięli się do pracy nad uporządkowaniem kwatery. Żołnierze na razie śpią na podłodze, kantynę pomieszczono obok, w kręgielni, jadalnię wyżej — na balkonie, na scenie złożono rzeczy. Gorzej z kuchnią, bo tylko jest jeden kocioł, ale tym się martwią kucharze. Już w drugim dniu zabrali się wszyscy ochoczo do pracy, z myślą o lepszej przyszłości. *(j. p.)*

Otóż ogólnie przyjętą zasadą międzynarodową jest pisanie swego imienia z a w s z e w brzmieniu oryginalnym, a nie tłumaczenie go na język obcy. Tak więc Anglik zawsze będzie się zwał William a nie Wilhelm, Francuz — Georges a nie Jerzy, Węgier zaś — Bela a nie Wojciech lub Adalbert. Niechajże więc i Polak w każdej okoliczności pisze się Jan a nie Johann, Władysław a nie Ladislaus, i Zygmunt a nie Sigismond. Forma imienia jest bowiem nie tylko czymś bardzo osobistym, ale i bardzo istotnym wyrazem narodowości, do której poczuwa się jego posiadacz. A zatem jeśli np. przy nazwisku Kaiser będzie stało imię Henryk, od razu wiadomo, że to Polak, — jeśli Heinrich, będzie to Niemiec, — jeśli Henri, to Francuz lub Alzatczyk, — a jeżeli Henry, to na pewno Anglik lub Amerykanin.

O ile w niektórych wypadkach można by się zgodzić na pewne wyjątki od powyższej zasady, o tyle w żadnym razie nie jest dopuszczalnę nadawanie postaci cudzoziemskiej swemu nazwisku, pisząc np. »Wolitzky« zamiast Wolicki, albo też doczepiając sobie »de« lub »von« — chyba żeby zaznaczyć, że się zatraciło swą pierwotną narodowość. Bo inaczej cóż za sens mają mieć np. te polszczyźnie tak obce przyczepki? Zaznaczanie wobec obcych swego »szlacheckiego« pochodzenia? Ależ kogóż to w obecnych czasach ziębi albo pali? Prócz tego jest to postępowaniem wbrew naszej konstytucji, która nie uznaje żadnych »lepiej« czy »gorzej« urodzonych obywateli. Co się zaś w szczególności tyczy owego »von«, to chyba jest jasnym każdej mądrej głowie, że aby to słówko dzisiaj dodawać do swego polskiego nazwiska, trzeba być pozbawionym wszelkiej dumy narodowej. Czyż ktoś mógłby sobie poważnie wyobrazić takie np. malownicze zestawienia: von Gaulle, de Churchill albo von Mihailović? W każdym razie ci nieliczni z pośród nas, którzy się w powyższy sposób usiłują »wyszlachetniać«, nie mogą być uważani za naszych współrodaków. Nadają się oni na zupełnie inną »listę ludową«...

* * *

Widzę, że moja pogawędka w swym polotnym rozmachu zaczęła przybierać rozmiary, niemal konkurujące ze wspomnianą na wstępie amerykańską książeczką. Wobe tego hamuję i kończę — ostrzegając jednak Czytelników, że może być ciąg dalszy.

W. P.

Śpieszymy z pomocą

— **Rozpoczynając w nr 32 z 21 XII 1941** ogłaszanie naszych składek na różne cele, nie przypuszczaliśmy, że ofiarność żołnierzy D. S. P. będzie tak wielka, iż staniemy wreszcie przed problemem braku miejsca w »Gońcu« na ogłaszanie tych składek.

Już w Kalendarzyku na r. 1943 zestawione zostały sumy wpłacone przez nas do 3o XI 1942. Powtarzamy je dla pamięci:

Na Dar Narodowy DSP 1941: fr. fr. 60.100. — i fr. szw. 350. — Na Dar Narodowy DSP 1942: fr. fr. 250.360 i fr. szw. 3.064.29. Na Polaków w Rosji: L. 372 i fr. szw. 773.74. Na jeńców w Niemczech: fr. szw. 13.576-01. Na dzieci polskie: fr. szw. 1.750.11 i esc. 1.130. Na cele kult. ośw.: fr. szw. 2.110.33. Na nagrobki: fr. szw. 3.539.29.

Razem więc przeszło 30.000 fr. szw. Jest to suma jak na nasze stosunki i skromne możliwości bardzo duża.

Obecnie zamieszczać będziemy jedynie zestawienia kwartalne, nadsyłane nam z Dowództwa D. S. P.

— **Od Szwajc. Komitetu opieki nad jeńcami polskimi** otrzymujemy następujące pismo:

»Wśród polskich internowanych w Szwajcarii powstała nowa myśl, która zasługuje na jak najszybsze urzeczywistnienie. Otóż jeden z obozów przedłożył nam plan wzięcia w swą opiekę jednego z bratnich obozów jeńców w Niemczech. Plan ten uważamy za bardzo szczęśliwy, gdyż w ten sposób udałoby się prowadzić akcję opieki bardziej skoordynowanie, a równocześnie nastąpiłoby pogłębienie uczuć braterskich między obozem-opiekunem a obozem-chrześniakiem. Większe i stałe obozy internowanych mogą więc zwracać się w tej sprawie do Komitetu (Schw. Hilfswerk für poln. Kriegsgef. Bern, Thunstr. 21. Konto czekowe III-12778), który wskaże odpowiedni obóz jeńców w Niemczech, umożliwi nawiązanie stosunków z mężem zaufania tego obozu oraz udzieli wszelkich informacji co do tej akcji«.

Przypominamy, że cena paczek wysyłanych przez internowanych dla jeńców wynosi nadal za paczkę żywnościową fr. 6.—, za odzieżową fr. 8.—

— **Akcja pomocy dzieciom polskim** rozwija się coraz pomyślniej. Obóz Gudo otrzymał następujący list od Wł. Bednarka, ucznia I. kl. gimn.: »Dziękuję naszym kochanym żołnierzom za ich dobre serca, będę się za to modlił przy każdym paciorku do naszej Królowej Częstochowskiej o ich zdrowie i aby zawsze miała ich w swojej opiece. Niech im pozwoli powrócić jaknajprędzej do Wolnej Ojczyzny«... Niewprawne dziecinne pismo, a ileż serca, ile gorącej dziecięcej wiary, ile wzruszającego swą bezpośredniością uczucia zawiera to pismo! »Gdy odczytano je przed frontem — pisze nasz korespondent, j. w. — zaległa długa cisza. Twarze wszystkich spoważniały. Wrażenie — przez swą bezpośredniość — dotarło do wszystkich serc. Potem list wędrował z rąk do rąk, odczytywany i oglądany ze wszystkich stron. Idźcie naszym śladem. Nie żałujcie grosza na ten święty cel. W podzięce dostaniecie modlitwę dziecka, która przydać się może każdemu z nas«.

— **Akcję witaminową dla dzieci naszych we Francji,** ogłoszoną przez nas w nr 24/56, prowadzimy nadal. Paczka zawierająca 250 pastylek Redoxon »Roche« oraz 10 g Vi-De »Wander« kosztuje wraz z przesyłką fr. 12.— Pieniądze należy kierować do Redakcji »Gońca Obozowego« w Münchenbuchsee białym przekazem pocztowym, podając na odwrocie prawego odcinka dokładny adres odbiorcy we Francji.



— **»Dodatki literackie« zbieramy nadal!** — Myśl zbierania »Dodatków literackich« uwieńczona została całkowitym powodzeniem. Zdołaliśmy, posiadając zwrócone nam przez Czytelników arkusze, oprawić 600 egzemplarzy I tomiku. W ten sposób, bez żadnych specjalnych kosztów, Polonia zagraniczna otrzyma bardzo pożyteczny zbiorek opowiadań, wzbogacający jakże ubogie obecnie zapasy dobrych książek polskich.

Począwszy od arkusza XVI (»Powrót Ziemi Czerwieńskiej«) rozpoczynamy zbiórkę dodatków do II tomiku.

Tymczasem wpływa do nas zaledwie około 300 egzemplarzy każdego dodatku, podczas gdy arkusz XV wpłynął w ilości 700 sztuk. Jesteśmy tym zaniepokojeni, gdyż jeżeli obecnie, po tej naszej odezwie, zaczną napływać »Dodatki literackie« w większej ilości, brak nam będzie pierwszych arkuszy do II tomiku. Zdarzyło się tak przy tomiku I, że brak pierwszego arkusza uniemożliwił nam oprawienie przeszło 150 broszur.

Że coś nie jest w porządku świadczy list Czytelnika J. G. z Ilanz: »Żal mi po prostu, gdy widzę jak bezmyślnie niszczy się dodatki, a jestem przekonany, że są ludzie poza granicami Szwajcarii, którzy z wdzięcznością przyjęliby je i przeczytali; ludźmi tymi są nasi bracia, a o nich nie powinniśmy zapominać«.

Zwracamy się więc jeszcze raz do wszystkich Czytelników, komendantów obozów, oficerów oświatowych i podoficerów pocztowych o przyłożenie wszelkich starań, abyśmy zwroty »Dodatków« w jaknajwiększej ilości i zaraz otrzymywali. Prosimy też o wszczęcie poszukiwań za arkuszem XVI i dalszymi.

— **Poselstwo RP w Bernie** (Elfenstrasse 20) prosi o zwrot wypożyczonych w swoim czasie nut: St. Kwaśnika-Pięc pieśni górnośląskich oraz St. Wiechowicza - Siedem pieśni, zeszyt VI. Nuty te są własnością prywatną; wypożyczone zostały pod warunkiem zwrotu. Poselstwo nie wie, w jakim obozie nuty te mogą się obecnie znajdować.

— **P. Maria Jasińska,** przewodnicząca Komitetu »Pro Polonia« w Neuchâtel'u prosi o podanie do wiadomości, że skrzypce, o których donieśliśmy w nr. 58 »Gońca«, zostały przekazane żołnierzom, których prośby uzasadnione były najpoważniejszymi argumentami.

— **Kazimiera Iłłakowiczówna,** Węgry: kartę z 19. XI 1942 otrzymaliśmy 3/XII. Wiersze również odebraliśmy. Serdecznie dziękujemy — wykorzystamy. Skoro tylko otrzymamy materiał przesłany pod adresem p. S., napiszemy bezpośrednio.

— **Wysyłka banknotów do Francji.** Sprawa wysyłki banknotów francuskich do Francji, podjęta swego czasu przez redakcję »Gońca Obozowego«, znajduje się jeszcze w toku załatwiania przez władze francuskie, na których ostateczną decyzję oczekujemy lada dzień. Przypuszczamy, że decyzja ta uległa opóźnieniu na skutek ostatnich wydarzeń we Francji. W każdym bądź razie natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi władz francuskich powiadomimy wszystkich tych, którzy w załatwieniu tej sprawy są zainteresowani. Jeżeli w między czasie zmieniły się adresy odbiorców pieniędzy we Francji — prosimy o tym nas powiadomić.

ADRESY: Redakcja: Redaction du Journal des Internés polonais, Münchenbuchsee.
Administracja: Commissariat Fédéral à l'Internement, l'Officier de presse, Poste de campagne 17.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego" na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern

Cena „Gońca Obozowego":
dla oficerów i aspirantów Fr. 0.25
dla podoficerów i szeregowców Fr. 0.10
dla osób cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.50

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement,
Poste de campagne 17.

Do naszych Czytelnikow

Poczynając od bieżącego (4-5) numeru, cena »Gońca Obozowego« podwyższona zostaje

z 10 rp. na 15 rp. dla podoficerow i szeregowych
z 25 rp. „ 30 rp. „ aspirantow i oficerow
z 1.50 fr. „ 1.80 fr. „ osob cywilnych.

Zwyżka ceny spowodowana jest ogólnym wzrostem kosztów papieru i druku oraz rozbudową pisma.

Pierwotna cena 10 rp. za numer 8-stronicowy ustalana była w 1940 r. Obecnie dajemy naszym Czytelnikom stale numery 12-stronicowe, 8 stron dodatku literackiego oraz ostatnio — co miesiąc — 8 stron dodatku religijnego. Łącznie więc 36 stron druku miesięcznie, w porównaniu z 16 stronicami w r. 1940, na podstawie których ustalona była cena pisma.

Ponadto obecna podwyżka pozwoli nam na częstsze wydawanie numerów 16-stronicowych.

REDAKCJA